Nr. 10. Warszawa, dnia 7 Marca (23 Lutego) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych o odnowienie prenumeraty uprzejmie prosimy.

POLITYKA.

PIANA POLITYCZNA.

Tuman złorzeczeń, skarg i obelg, jaki się podniósł w prasie niemieckiej przeciwko francuzom z powodu ich „skandalicznego“ przyjęcia cesarzowej Fryderykowej w Paryżu, należy do tych wypadkow, wobec których trzeba sobie wielokrotnie przecierać oczy, ażeby uwierzyć w to, na co one patrzą. Podobnego upokorzenia z jednej strony i podobnego bezczelnego zuchwalstwa z drugiej dawno już nie oglądaliśmy. Warto sobie uprzytomnić dokładnie ten obraz.

Matka monarchy niemieckiego pojechała *incognito* do Paryża na parę dni dla uregulowania jakiejś sprawy pieniężnej, czy też dla zaproszenia malarzów francuskich do udziału w wystawie berlińskiej. Wiadomo, jakie uczucie zbudzić ona musiała w narodzie rozgromionym przez Niemcy pod dowództwem jej męża. Pomimo to, pomimo że nie przedsięwzięto żadnych środków ubezpieczających, pomimo że cesarzowa pobyt swój z trzech dni przedłużyła do ośmiu, pomimo że zwiedziła wszystkie muzea a nawet Wersal, ten sam Wersal, gdzie aktem koronacyi cesarza niemieckiego zapieczętowano pohańbienie Francyi, pomimo że nie zachowując *incognita*, występowała na obiadach dyplomatycznych we właściwym swoim charakterze — ludność paryska okazywała jej wszędzie grzeczny szacunek, nie obraziwszy ani jednem słowem, ani jednym dowodem niechęci. Nareszcie rycerskość dla dostojnej pani posunięto do takiego stopnia, że zdjęto przed jej przybyciem wieniec z pomnika Regnaulta, malarza poległego w r. 1870. Tę zbyteczną uprzejmość wyzyskali rycerze szerokiego gardła, członkowie topniejącej ligi patryotycznej i dogorywającego bulanżyzmu; pochwyciwszy sposobność wypłynięcia na wierzch i narobienia około siebie wrzawy, zaczęli w mowach i dziennikach pośledniego gatunku wymyślać na niemców i piorunować przeciwko artystom, którzy z własnej woli i pod wpływem namów cesarzowej objawili gotowość wystawienia swych obrazów w Berlinie. Przestraszeni krzykiem malarze porzucili ten zamiar, przy którym wytrwało zaledwie paru niesteroryzowanych. Cały ów hałas jednak nie wpłynął na zachowanie się ogółu i cesarzowa odjechała spokojnie. Czy stało się coś „skandalicznego,“ okropnego, wołającego o pomstę do piorunów dziennikarskich, zmaczanych w atramencie i rządowych, miotanych z siłą mściwego odwetu? Posłuchajmy naprzód, co na to pytanie odpowiedziała *Kölnische Zeitung*: „Francuzi nie mają prawa obrażać łobuzowskiemi zniewagami głowy państwa niemieckiego i jego dostojnej matki. Każdy niemiec, w którym tli się iskra poczucia godności narodowej, jest śmiertelnie dotknięty w osobie swego cesarza. Naród niemiecki spodziewa się, że rząd i lud francuski da mu dostateczne *zadośćuczynienie* i zmyje piętno *hańby* z Francyi, przywołując energicznie do porządku nędzników, których my, niemcy, uważamy za wyrzutków społeczeństwa, *nieistniejących* w naszej ojczyznie i zdruzgocze ich brudne głowy gromem sumienia publicznego, gdy podnieść je zechcą.“ Ziemia i niebo zadrgałyby ze zgrozy i przerażenia, usłyszawszy tę straszną mowę, gdyby nie wiedziały, że tu chodzi o zbrodnię namiętnych filipik, wygłoszonych przez garstkę warchołów pod czerwonym sztandarem Derouleda i Rocheforta. O nic więcej. Nie zaszkodzi przytem wskrzesić kilka wspomnień. Francuzi — powiada *Köln. Zeitung* — „nie mają prawa obrażać matki cesarskiej,“ ale mieli to prawo niemcy, gdy w tejże samej gazecie szydzili z „rządów fartuszkowych“ i oskarżali „angielkę“ o wyzyskiwanie męża i wpływów na korzyść „swej ojczyzny.“ Im wolno było wypisywać w najbardziej rozpowszechnionych dziennikach grubijańskie i nikczemne impertynencye żonie ich własnego monarchy, a Francya musi dać „zadośćuczynienie“ za to, że szczypta szowinistów sarkała na jej pobyt. Im wolno było piętnować zdradą kraju i niepatryotyzmu każdego artystę niemieckiego, któryby posłał swe dzieło na ostatnią wystawę powszechną w Paryżu, ale malarze francuscy popełnili zbrodnię, odmówiwszy swego uczestnictwa w wystawie berlińskiej. Bo Niemcy „wyciągnęły rękę“ do Francyi! Zaisto pokonywająca racya! Nie trzeba było „wyciągać ręki“ przed 20 laty dla wydarcia dwu prowincyi i 5 miliardów franków, to teraz by ją uściśnięto. Jeżeli tedy niemcy każą francuzom zapomnieć o tej wielkiej krzywdzie i ranie; jeżeli harmider krzykaczów uważają za zniewagę wyrządzoną cesarzowej, którą sami daleko dotkliwiej obrażali; jeżeli pomijają przyzwoite zachowanie się publiczności i prasy paryskiej; jeżeli w artystach francuskich potępiają to samo, co swoim zalecali; jeżeli nazwawszy (przez usta Bismarka) Francyę „krajem dzikim“ żądają od niej posłuszeństwa ich skinieniu; jeżeli zamiast wdzięczności płacą jej za uprzejme traktowanie cesarzowej wymysłami — to wznoszą się do tej wyżyny bezczelnego zuchwalstwa, do którejby żaden chyba naród sięgnąć nie zdołał.

Cesarz niemiecki dał się nieopatrznie porwać temu wybuchowi dzikich pretensyj. W 48 godzin po mowie namiestnika Alzacyi i Lotaryngii, stwierdzającej poprawę stosunków międzynarodowych, która pozwala na usuwanie tam granicznych, odwołano wszystkie ulgi paszportowe dla francuzów i przywrócono całą surowość rozporządzenia z 1888 r. Ma to być odwet za „przykrości“ wyrządzone cesarzowej — odwet tak mizerny i bezzasadny, jak owe przykrości urojone. To też prasa całego świata zganiła ten krok nieusprawiedliwionej szykany.

I cóż na tę szykanę, na ulewę złorzeczeń odrzekła prasa francuska? Wypowiedziała swojemu narodowi szereg „trzeźwych“ morałów, napomniała patryotów i bulanży-

stów, tu i owdzie wytknęła malarzom brak odwagi cywilnej, wreszcie zakończyła akt skruchy skargą, że za awanturników paryskich „ukarano niewinnych braci w Alzacyi i Lotaryngii.“ Nie wiadomo, co sprawia przykrzejsze wrażenie, czy zuchwałość niemiecka, czy ta pokora francuska. Bo wielki naród, który niczem nie zgrzeszył przeciw wrogowi, a bije się w piersi, tłomaczy się i usprawiedliwia, przyrzekając poprawę, zamiast zawrzeć słusznym gniewem i energicznie odeprzeć napastnicze uroszczenia — nie umie ani czuć, ani bronić swej godności.

Z AUSTRYI.

Antisemici austryaccy w opałach. — List pasterski biskupów austryackich. — Komunikat prezydenta styryjskiego rządu krajowego. — Procesy przeciw Luegerowi i Verganiemu. — Agitacya socyalno-demokratyczna. — Rozprawy o jurysdykcyę konsularną w parlamencie węgierskim.

Antisemityzm austryacki, do niedawna rozwijający się swobodnie, stanął nagle wobec trudnych warunków. Trzy klęski równocześnie niemal go nawiedziły i to właśnie w okresie przedwyborczym. Oświadczenie ks. Lichtensteina, że nie jest klerykałem, staje się zrozumiałe w oświetleniu listu pasterskiego „połączonych“ biskupów austryackich, którzy występują w opozycyi względem stronnictwa „połączonych chrześcian.“ List ten głosi, że nienawiść rasowa jest rzeczą pogańską, niezgodną z zasadami chrześciaństwa i wzywa do pokoju społecznego. Oświadczenie to, wygłoszone z wszystkich ambon austryackich, oznajmia, że skończyła się wspólność broni kleru i prowodyrów antisemickich, a wobec tak niespodziewanego zwrotu prasa ultramontańska bezradna milczy. Można się jednak domyślić zakulisowych dziejów, których wynikiem jest ów list pasterski. Biskupi długo biernością swą zachęcali kler do udziału w ruchu antisemickim i do łączenia się ze stronnictwem chrześciańsko-społecznem. Prasa pobożna, po kilkuletnich daremnych usiłowaniach pozyskania klas roboczych, zwróciła się do sfer drobnego mieszczaństwa i na tem polu spotkała się z antisemitami. Zrazu sojusz nowy zdawał się rokować korzyści dla kościoła, przy pomocy agitatorów antisemickich bowiem kilku duchownych pozyskało mandaty poselskie. Zgromadzenia katolicko-polityczne, dawniej nieliczne, ożywiły się nagle, Lueger i jego towarzysze wymową i wpływem popierali usiłowania duchowieństwa. Lecz w zamian za usługi antisemici, przyzwyczajeni do swobody parlamentarnej, ośmielali się krytykować postępowanie biskupów; Lueger zarzucał im chwiejność i ganił publicznie arcybiskupa wiedeńskiego, że usunął się od głosowania przy ustawie o ubogich. Teraz dopiero zrozumieli biskupi, że sojusz z antisemitami jest groźny dla karności kościelnej, tej najsilniejszej podpory Kościoła i porozumiawszy się wczas, zerwali więzy łączące ich z Lichtensteinem i Luegerem przed wyborami. Dlatego to pierwszy wypiera się dziś nowcli szkolnej, a drugi biskupów i prałatów nazywa „liberałami.“

W parę dni po ogłoszeniu listu pasterskiego dowiedziano się o komunikacie Wasera, prezesa wyższego sądu krajowego w Styryi, napominającym sędziów, aby każdemu obywatelowi równej udzielali opieki prawnej i aby ze względu na honor swego stanu nie łączyli się jawnie ze stronnictwem antisemickiem. Mimo iż ludność żydowska w Styryi i Karyntyi jest drobną (w Styryi liczy ona zaledwie 2,000 głów), antisemityzm objął tam nietylko lud, ale i sfery inteligentne, a objawy jego występowały w życiu publicznem. To też na Styryę wskazywali antisemici wiedeńscy jako na ideał zdrowia społecznego; komunikat Wasera zaś potępia teorye przez nich wygłaszane właśnie w chwili, kiedy nadarza się sposobność do wprowadzenia ich w życie.

Najprzykrzejszą jednak sprawą dla antisemitów wiedeńskich są procesy, w które zawikłali się ich przywódcy, a które wydobywają na jaw zakulisowe matactwa dziwnej barwy. Niedawno odbyła się rozprawa sądowa między Luegerem a Scharfem, wydawcą pisma *Sonn und Montagszeitung*, które obrało sobie za cel wykrywanie brudów antisemickich. Scharf, człowiek nadzwyczajnie obrotny i mający liczne stosunki, zebrał obfity materyał, przedstawiający Luegera jako człowieka i męża publicznego w najfatalniejszem świetle. Dowodził on zwłaszcza dokumentami, że Lueger, mieniący się obrońcą drobnego mieszczaństwa, jako adwokat niemiłosiernie i z prawdziwem barbarzyństwem tradował biedaków. Pozwany o obrazę honoru redaktor, w ciągu trzydniowej rozprawy, która wypełniała łamy wszystkich dzienników wiedeńskich, scharakteryzował przeciwnika tak dosadnie, że grzywna, na jaką skazała go antisemicka większość przysięgłych, prawdziwego obrazu Luegera zasłonić nie mogła. Ze słabszym materyałem dowodowym usiłował w tych dniach dziennikarz Hron usprawiedliwić przed sądem ciężkie zarzuty, z jakimi wystąpił w broszurze przeciw Verganiemu, redaktorowi antisemickiego dziennika *Deutsches Volksblatt*. Że jednak Hron przez czas pewien był współpracownikiem tego pisma, odsłoniły się w sądzie wewnętrzne stosunki stronnictwa antisemickiego, które zwłaszcza uderzają komizmem. W łonie tej partyi panuje najzawziętsza walka prowodyrów. Wodzem był i jest Schönerer, rozporządzający milionami. Żąda on jednak od swych towarzyszów, aby uważali się za zera i występowali tylko na jego skinienie. Podczas gdy Schönerer odsiadywał karę za napad na redakcyę *Neues Wiener Tagblatt*, Vergani na prędce sklcił komitet redakcyjny, zebrał fundusze drogą składek i założył dziennik *Deutsches Volksblatt*, aby „sprawić niespodziankę“ Schönererowi, właściwie zaś, aby wyzwolić się z pod jego władzy. Schönerer zrozumiał też jego intencyę, pierwszy numer dziennika, podany mu w złotej kopercie, cisnął towarzyszom pod nogi, a Verganiemu radził, aby się powiesił. Proces z Hronem odsłonił też stosunki pieniężne, w jakich Vergani i towarzysze jego pozostawali z Schönererem, które dowodzą, że stronnictwo antisemickie w Wiedniu nie rozporządza jeszcze ani jednym człowiekiem charakteru nieskazitelnego i poglądów jasnych, któryby dążył istotnie do usunięcia zgnilizny, a nie do wypłynięcia na wierzch.

Z walk przedwyborczych, toczących się obecnie w Austryi, fizyognomia przyszłego parlamentu austryackiego nie występuje jeszcze jasno. Najciekawszym objawem jest wpływ i znaczenie stronnictwa społeczno-demokratycznego, wzmagające się z dnia na dzień. Po raz pierwszy stanęło ono w Austryi do walki wyborczej, skupione i zorganizowane. Naczelnicy jego są wybornymi mówcami. Korzystają obecnie z ustawy, dozwalającej w okresie przedwyborczym całkowitej swobody słowa i zgromadzeń, niekontrolowanych przez komisarzów rządowych. Codziennie odbywają się teraz zgromadzenia, zwoływane przez nich w różnych okręgach wiedeńskich, w Czechach i na Morawii, a najdzielniejsi przedstawiciele partyi starają się tłomaczyć sferom inteligentnego mieszczaństwa i ludowi, że nie dążą bynajmniej do anarchii, jeno do usunięcia najdolegliwszych wad organizacyi społecznej, i że nie tylko nie są wrogami cywilizacyi, lecz owszem najszczerszemi jej podporami. Stronnictwo to w Austryi jest jeszcze tak nieliczne, że nie będzie miało ani jednego przedstawiciela w Radzie państwa, lecz

---

1)

Mutato Nomine

BAJKA

Wilę Zyndram-Kościałkowską.

Maryi Konopnickiej.

Cichą mą „Aphonie“ haremową nazwałaś duszą. Niechże ta bajka w świat idzie pod twego imienia osłoną, niech Ci przyniesie echo rozmów naszych w ogrodach Fraskati w srebrne letnie noce, pod wonnych lip konarami.

Wiła Zyndram-Kościałkowska.

„Zmyślenie poetów! Ależ my filozofami być chcemy, my prawdy nie bajek szukamy.“

Cyceron.

Na krańcach złotego wschodu, dawno, przedawno... wzrastał Hassain syn i dziedzic możnego padyszacha. Kolebkę miał z muszli morskiej, z fijołków puchówki, z rąbka jutrzenki pieluszki, z przędzy zefiru powijaki, a nad główką słoneczne namioty. Drobne jego stópki tonęły w kobiercach Teheranu i w puszystszych od kobierców trawnikach padyszalika. W piąstki skłaniały się pereł sznury i granatu owoce. Matką mu była najpiękniejsza z odalisek, źrenica w oku padyszacha. Z białych piersi greczynki wyssał z mlekiem słodycze Himetu. Co rano sto niewolnic, niby słońca sto promieni zaglądało w jego kolebkę, w południe sto go tęczowych bujało ramion, a w wieczór sto, jak skrzydła motyle lekkich, jak konwalie świeżych dłoni muskało krucze Hassaina włosy, sto ust purpurowych tuliło kwileniem rozchylone jego usteczka.

Gdy pachołęciem był już Hassain, stu rzezańców podwodziło mu co rano sto w bogatych rzędach koni. W południe stu rówieśników złote napinało mu łuki lub srebrne w modre jeziora zatapiało sieci, a wieczorem do snu mu grały niezliczone słowicze kapele, na piersi słały się wonne padyszalika sadów mroki i drżące miesiąca smugi, a nad nim pałało sto gwiazd, blaski stu kobiecych źrenic pod cieniem rzęs długich, jedwabnych.

Gdy na młodzieńca wyrósł Hassain, padyszach dał mu pałac marmurowy, stajnie, łaźnie, ogrody. Dał mu stu rycerzy, stu pacholków i stu dał mu rzezańców, by w haremie stu pięknych strzegli niewolnic. Ah! nieśmiertelność, obiecana wiernym Allaha w raju, śród hurysek ponętniejszą nie jest chyba! Że zaś Hassain przedziwnej był urody, jak cedr libanu wyniosły, jak sam Ali waleczny, jak odaliska pieszczot spragniony, niejedna wolna w dobrowolną oddałaby mu się niewolę, a niewolnica w objęciach jego wolną się czuć musiała.

A jednak... Hassain nie doścignąwszy mety rozpędzonego w biegu wstrzymywał konia, z rąk łuk napięty wypuszczał, czaszę z chłodzącym odtrącał napojem, od ust wonne odrywał cybuchy, z najbielszych wymykał się ramion... Po padyszaliku dziwne rozbiegły się wieści: Hassain, syn i dziedzic możnego padyszacha, stronił od haremu, odwracał się od rzezańców.

Wysłał padyszach syna na łowy — Hassain z łowów smutny wrócił. Na łupy myśliwskie spojrzeć nie raczył. Z rozstargnieniem słuchał, jak mu grały rogi i jak ogary w knici grały.

Wysłał padyszach syna na wojnę, z wojny Hassain wrócił syt zwycięztw i sławy, lecz smutny wrócił.

Dał padyszach synowi padyszalika sprawować rządy, dał mu prawo pisać księgi. Hassain mądry był i przezorny, dostępny i sprawiedliwy tylko...

głosy jego decydują już w niektórych okręgach, tak, iż zarówno liberałowie, jak demokraci dopraszają się u jego przywódców popierania swych kandydatów.

W parlamencie węgierskim odbyła się jedna z owych zażartych dyskusyj, któremi opozycya podkopuje stanowisko rządu od czasów Tiszy. Jak zwykle, przedmiot sporny nie pozostaje w żadnym stosunku do namiętności rozpraw, chodzi bowiem o osoby, nie zaś o rzeczy. Rząd wniósł projekt ustawy, regulującej sądownictwo konsulów na wschodzie. Wiadomo, że podczas gdy państwa europejskie zbrodnie, popełniane w ich obrębie przez obcych poddanych, sądzą według własnych ustaw, na wschodzie przestępcy, będący poddanymi obcych państw, sądzeni bywają przez konsulów według jurysdykcyi rodzimej. Prawo to nabyła Austrya od Turcyi pokojem Passarowickim, a dekret cesarski z r. 1885 uregulował jurysdykcyę Austro-węgier na wschodzie sposobem, nieodpowiadającym zasadzie dualizmu państwowego. Obecnie Szilagyi, minister sprawiedliwości, sprawę tę pragnie unormować na podstawie układu między Austryą a Węgrami. Projekt jego wymienia cały szereg wypadków, w których węgrzy sądzeni będą przez konsulów austryackich wyłącznie według ustaw węgierskich; odbywać się to będzie zawsze w imieniu cesarza austryackiego i króla węgierskiego, a instancyą apelacyjną ma być w Konstantynopolu wyższy sąd konsularny, zorganizowany na podstawie całkowitej równości. Możnaby więc zapytać ze zdziwieniem, czego żąda właściwie opozycya, skoro rząd sam tak ściśle trzyma się zasady wyrażonej w układzie? Jurysdykcya ta, odpowiada hr. Apponyi, jest nową sprawą wspólną, łączącą Węgry z Austryą, nieprzewidzianą w ustawie ugodowej; a opozycya nie chce, aby istniały wspólne sprawy państwowe między Austryą i Węgrami. Węgry niezadowolone są, iż już zajęcie Bośni i Hercegowiny wytworzyło podobną nową wspólność interesów. Stronnictwo zaś, które dąży do usamoistnienia Węgier celnego, do odrębności ich armii, słowem do najczystszej unii osobistej, nie chce wiązać Węgier z Austryą, regulując sądownictwo konsularne w duchu dualistycznym, i pragnie pozbyć się przedewszystkiem ministra, który dzieło Tiszy wzmacnia nowemi podporami, zamiast je podkopywać.

S.

PRZED URNĄ WYBORCZĄ.

Lwów, 1 marca.

Od kilku tygodni panuje gorączkowy ruch w całej Galicyi, którego zanalizowanie dałoby najlepsze świadectwo naszego upadku. Nie kusząc się o odmalowanie tego smutnego widowiska, podam tu jedynie kilka obrazków z walki wyborczej w stolicy kraju i na prowincyi. Wojna domowa demokratów lwowskich, wywołana postawieniem kandydatury Szczepanowskiego przeciw dotychczasowemu posłowi Lewakowskiemu, przybiera coraz większe rozmiary. Sprawdza się więc to, co zawsze zarzucano demokracyi galicyjskiej, że, mimo najpiękniejszych teoryi w praktyce, sieje tylko rozterki wśród własnego grona. Cóż dziwnego, gdy karny i jednolity obóz zachowawczy bierze zawsze górę i zdobywa powagę? Kto będzie w zgodzie z nami, jeżeli sami między sobą wzniecamy niesnaski i to nie o zasady, lecz o osobistości? Od głowy ryba cuchnie i dopóki w ognisku ruchu demokratycznego, w samym Lwowie, podobne dzieją się warcholstwa, nie może być mowy o należytem zorganizowaniu stronnictwa w kraju. Przestańcie, panowie, bo się źle bawicie!..

Wybór weterana demokracyi, dziś tajnego radcy cesarskiego, (Fr. Smolki) jest zapewniony. Niewiadomo tylko czy zostanie wybrany Szczepanowski o wyrobionem imieniu, czy Lewakowski o silnym charakterze. Pierwszy, mający młodą, lecz głośną przeszłość, drugi zaś dotychczasowy poseł (trzykroć wybierany) czysty, bezinteresowny, jakich mało w Galicyi. Szczepanowskiego znacie, wystąpił on przed kilku laty ze swą „Nędzą Galicyi w cyfrach,“ pracą niepospolitej wartości. Otworzył nam oczy, pokazał, czem jesteśmy, a czem być powinniśmy. Od czasów naszej autonomii żaden może z posłów nie zdobył sobie jednym zamachem tyle miru i tyle sympatyi, co on. Wierzyliśmy wówczas, że zjawił się w społeczeństwie naszem mąż, pod którego hasłem zszereguje się większość narodu. „Nędza Galicyi“ musiała rozbudzić tego rodzaju nadzieje. Czy one spełniły się? Powiedzmy otwarcie — nie! Dlaczego? Na tem stanowisku, które zajął w swym „Szturm i Drang“ - peryodzie (to jest podczas pisania „Nędzy Galicyi“) nie utrzymał się. Szybko zmieniał swe zdania, wahał się, lawirował. Ostatnia sesya sejmowa i obecna walka wyborcza wykazały, że Szczepanowski dawno porzucił stanowisko opozycyjne i kokietuje mocno z konserwatystami, że unika wszelkich wystąpień, któremi mógłby się narazić, że jasno i otwarcie działać nie myśli. Rozwielmożniona szeroko klika burżuazyi, dbająca jedynie o interesy własne i karyerę, składająca się z bankowców, redaktorów pism przewrotnych, z pseudoliberałów żydowskich, przynoszących ujmę uczciwie i postępowo myślącym żydom i nareszcie z ciemnych żywiołów, których dewizą „ręka rękę myje“ — głosuje dziś za Szczepanowskim. Za Lewakowskim stoi część nietkniętego jeszcze jadem demoralizacyi drobnego mieszczaństwa lwowskiego, garstka szlachetniejszej inteligencyi i młoda partya demokratyczna. O losach Lewakowskiego i Szczepanowskiego rozstrzygać więc będą z jednej strony głosy ludzi niezależnych, z drugiej karyerowiczów. Walka będzie gorąca i zacięta. Jeżeli wyjdzie z urny Lewakowski, będzie to świadectwem, że jeszcze ciemne żywioły nie owładnęły grodem naszym, że zasiane przez stańczyków ziarno, podatnego gruntu nie znalazło. Zobaczymy *)...

Agitacya biskupów zapuszcza już korzenie na prowincyi. W tych dniach rzucili między owieczki odezwę przedwyborczą biskup Dunajewski z Krakowa i biskup Pełcsz ze Stanisławowa. Ten list pasterski, podpisany przez 22 biskupów i arcybiskupów austryackich, zaznacza doniosłość chwili, wskazując na niezadowolenie warstw roboczych i zawiść klas społecznych wzywa więc ludność do wyboru na posłów ludzi o silnym charakterze — „wiernych dla państwowej idei austryackiej“ i „zdeklarowanych wyznawców katolicyzmu.“ Obok nacisku, położonego tu na jedność państwa, co świadczy, że w łonie episkopatu zaszedł zwrot poglądów w kierunku centralistycznym znajdujemy kilkakrotne podniesienie ważności kwestyi społecznej. Wogóle żywe zajęcie się hierarchii kościelnej wyborami do Rady państwa i wstąpienie na jej arenę agitacyjną, uważać musimy za rys charakterystyczny naszych czasów. Oby tylko nie był on zwiastunem nowych fal wstecznictwa według myśli starego przysłowia: „Popy sia krutiat — doszcz bude.“ Natomiast bardzo pocieszającym objawem jest zbudzenie się naszego włościaństwa z dotychczasowego letargu do samodzielności, do obrony swych praw, zdobytych krwawym potem. Oddzielenie się włościan od obywateli ziemskich, duchowieństwa i sfer inteligentnych ujawniło się obecnie znacz-

*) Wybrano Lewakowskiego. *Red.*

W haremie wrzało! Hassain haremem gardził!

Wezwał padyszach syna do siebie.

— Czegóż ci braknie, Hassainie? Chyba tej chmury, co mknie po nad cedrów szczytem, chyba tej gwiazdy co Allach na nocnem rozpala niebie.

Chmury... Tyle się ułud rozwiało w Hassaina objęciu, a gwiazdy same słały mu się pod stopy. Za pasem miał rubinami wysadzane jatagany, złoto kapało z rzędów jego koni, od złota cenniejsze damasceńskie miał klingi, od dyamentów twardsze swych ryczerzy prawice, a w haremie dokoła płonęły mu gwiazdy kobiecych spojrzeń... Hassain pragnął raczej tej, tam lotem powietrze przerzynającej jaskółki, co uskrzydlona, wolna, do gniazda przecie leci...

Roześmiał się padyszach! Syn jego i dziedzic marnej zapragnął ptaszyny. Wszak miał klatkę złotą — harem! I nie roiłoż się od wszelkiego pierza i świegotu?

O! harem! miał go dość Hassain, miał do przesytu. Zatęsknił za inną rozkoszą... za wolnem kobiecem sercem, za wolną kobiecą duszą...

Co? Przesłyszało się padyszachowi, wiek mu słuch przytępił. Alboż kobiety... Wszak w Alkoranu nauce ćwiczono Hassaina?

Padyszach w gniewie siwą rwał brodę, a pod palmą, na uboczu, siedział derwisz stary, zwolna w pergaminowych rąk drżących palcach przesuwał paciorki, zawieszonego na ręku różańca.

— Mufti! — zawołał, dłonie łamiąc padyszach. — Słyszałeś Mufti! Nie tyżeś w Alkoranu nauce ćwiczył mego syna?

Powstał z pod zielonej palmy siwowłosy ulem. Do stóp mu biała spływała szata, do pasa broda mleczna, w drżących bladych palcach dzwoniły ametystowe różańca paciorki.

— Efendi! — rzekł do padyszacha — wypuść w świat syna. Niech pociągnie z karawaną ze wschodu na zachód, z południa na północ, przejdzie wsze ziemie i krainy wszelkie... niech probuje, szuka. Mądry i wielki jest Allah! On stworzył to, co stworzył: serce mężczyzny i kobiety serce... Mądry i wielki jest Allah, a Mahomet jego prorokiem.

Mówiąc to, uśmiechnął się derwisz siwobrody i po ustach słuchającego padyszacha porozumienia przemknął uśmiech. Mądry bo byli długich lat doświadczeniem, siwi jak gołębie białe starcy.

Padyszach usłuchał ulema, dał synowi trzos złota i wiernego sługę i w świat go od siebie puścił. Niech szuka, niech probuje. Mądry i wielki jest Allah, a Mahomet jego prorokiem.

. . . .

W świat poszedł Hassain. Ojciec dał mu trzos złota, derwisz mądrej udzielił rady, ojczyste słońce żar wlało w krew, piers i oczy, pieśniarze wschodu rozpalili wyobraźnię i uskrzydlili zmysły, a dwie dobre wróżki, którym Szczerość i Przenikliwość na imię, obdarzyły tem, co serca jedna i w sercach, bodaj niewieścich, przejrzeć dozwala.

. . . .

Przepłynął Hassain morza i po szerokich wędrował lądach, tam zwłaszcza, gdzie słyszał, haremy głośno i stanowczo potępiano bywają. Roiło się też tam roiło od wolnego niewieściego ptactwa. Niejedną też ptaszynę udało się Hasainowi pochwycić. Szczebiotu ptactwa tego Hassain słuchał ciekawie, uważnie. Wiele tam mówiono o ideałach, o zasadach, o duszy, zgoła o tem właśnie, o czem Hassain na złotego wschodu krańcach nie słyszał.

Czy znalazł wszelako to, czego po za haremem szukał — nie wiadomo. Pamiętnika o podróży nie pisał. Dość, że nie pozostał nigdzie i nigdzie nie wrócił i zewsząd sam

nie ostrzej, niż przy ostatnich wyborach. Fakt ten wielkiej wagi dla Galicyi przebija się z następującego protestu chłopów przeciw kandydaturze jednego z szlachetnie urodzonych. Podajemy ten głos ludu w dosłownem brzmieniu. „Chodzi pewna pogłoska, że wy, panie redaktorze, ubiegacie się o mandat poselski z kuryi wiejskiej. Nie chcemy temu dać wiary. My was zupełnie nie znamy. Czego wy od nas chcecie? My wszyscy biedni rolnicy-włościanie i rzemieślnicy, sprowadzeni przez różne nieprzyjazne nam okoliczności do ostatecznej już nędzy, chcemy się ratować, chcemy mandat poselski dać takiemu człowiekowi, którego znamy, a on nas, i który będzie się starał „biedzie naszej zaradzić.“ Panie redaktorze, wiecie co to jest mandat poselski? Mandat poselski to jest nasz skarb nieoceniony w państwie konstytucyjnem, a wy chcecie u nas ten nasz skarb najdroższy wyłudzić, chcecie nas skrzywdzić. Niektórzy panowie mówią, że wy macie być uczonym mężem, doktorem prawa, czy filozofii; jeżeliście wy naprawdę człowiek uczony, to będziecie zapewne wiedzieć, że to wam będzie nic do twarzy czynić nam taką ciężką krzywdę. Polski komitet centralny we Lwowie, w którym nie zasiada ani jeden rolnik włościanin, ani jeden rzemieślnik, tylko sami wielcy panowie i wy z nimi, handluje nami, jak towarem i narzuca nam na posła i wy sami siłą, mocą się narzucacie, kierowani pustą ambicyą, a może reflektując na osobiste korzyści materyalne. Na agitacyę składają panowie obywatelowie pieniądze. W rzeczy samej zaś oni przeważnie robią bokami, a żydzi poprzyczepiali się do nich i wysysają ostatnie soki. Ale na agitacyę pieniądze muszą być w imię „patryotyzmu.“ Pieniędzy tych złożonych przez szlachtę nie wystarcza, i dlatego wy, panie redaktorze, otwieracie swoją bogatą kieszeń i dajecie pieniądze. Wasi poplecznicy, panie redaktorze, odłożywszy dobrą część pieniędzy, otrzymanych na agitacyę, dla siebie, najmują żydów i rozmaitego rodzaju siepaczy, którzy straszą, rozpajają, podkupują, tumanią i demoralizują w niesłychany sposób ten biedny, ciemny lud, by dla was głosy uzyskać. Najęci żydzi i wszelkie płatne podłe osobistości aż oblizują się do nachwytanych pieniędzy. Na demoralizacyę ludu idzie chyba trzecia część pieniędzy, a dwie trzecie rozdrapują sami nasi agitatorowie. Bójcie się Boga, panie redaktorze! Czy miarkujecie, do jakiej obydnej roboty rąk przykładacie? Szlachta-obywatele, całkiem już zrujnowani materyalnie, składają ostatni pieniądz na demoralizacyę ludu. Biednemu, nędznemu młockowi, jakiemu tam zarobnikowi lub rzemieślnikowi żałują podwyższyć płacę o jednego mizernego centa; a na taką hańbiącą akcyę, jak za mandatem poselskim dla was, nie żałują dać z ostatniego. Tu biedne dziatki po wsiach gołe, bose, nie mają w czem w zimie do szkoły chodzić, nie mają ani książki, ani tabliczki, niejeden ludzki nauczyciel od ust sobie odejmuje, a z litości kupi trochę papieru, aby biedne dziatki w szkole miały na czem pisać, a wy panie redaktorze, człowiek bogaty, rozrzucacie tysiące? Na najgorszą demoralizacyę! Zostawcie nas, panie redaktorze, nie wydzierajcie u nas mandatu poselskiego! Niech panowie z większej posiadłości was sobie na posłów wybierają, my was nie chcemy.“ Tu następują podpisy 500 chłopów i rzemieślników.

Cały kraj patrzy teraz na chłopów. Jedni cieszą się, wołając: „Niech żyje lud nasz kmiecy, potrafią oni postawić na swojem. Albo to nie robili trudniejszych rzeczy! Albo nie brali armat czarnemi rękami!“ Inni znowu mówią: „Jak się nastraszy chłopa, a wsunie mu się trochę brudnych pieniędzy w łapę, to spokornieje i zrobi, co każemy.“ Głos ten ostatni — to jak wołanie puszczyka w lesie, od którego po całem ciele dreszcz przechodzi. Zobaczymy, kto ma słuszność... Gdy dnia 2 marca wysuną się z pod słomianych strzech chłopi-obywatele, a rozmaitemi drogami i gościńcami spłyną rzeką do urny wyborczej, gdy podniosą dumnie schylone dotąd głowy i jak jeden mąż oddadzą swe głosy swoim, wówczas zobaczymy skutki najmłodszego ruchu. Tymczasem smutno się zapowiada kampania wyborcza. Oto np. osobliwsza kandydatura wpływa w Pilznie. Zwołane zgromadzenie dla wyboru zagaja p. Szczeklik przemową, że ks. Kopyciński jako jedyny kandydat „nie wystarcza“ i że należy drugiego zaproponować, ażeby był wybór między dwoma. Postawił więc starostę Bilińskiego, jako człowieka ogólnie cenionego, czego dowodem to, że ma brata, „który zostanie ministrem i będzie nam do wszystkiego dobrego dopomagał, powie też inspektorowi podatkowemu, żeby was nie cisnął w podatkach, a jakbyśmy go nie wybrali, to się będzie mścić.“ Drugi mieszczanin popierał go, twierdząc, że jest energiczny, bo jak teraz chciał, to był wybrany. Wysłano więc deputacyę, a p. starosta przyjął kandydaturę, ale wymówił sobie, że on sam nie może [illegible] sobą agitować, tylko to pozostawia mieszczanom i urzędnikom. Zdaniem naszem Pilzno powinno raczej od razu głosować na hr. Taaffego, bo ten jeszcze więcej znaczy, niż przyszły minister Biliński. Boże, zlituj się nad ciemnotą biedaków! Oto znów inny kwiatek z naszej niwy wyborczej. Okrąg Przemyślany—Złoczów zapłonął szczególniejszym afektem do złotych kołnierzy i guzów metalowych. Walczą tam o lepsze aż trzy uniformowe kandydatury, dwie wysoce urzędowe w osobach złoczowskiego starosty, p. sekretarza sądu kolegialnego z naczelnikiem sądu powiatowego, nie licząc czwartego kandydata obojczykowego z ramienia ruskiej rady. Wobec tak obfitego urodzaju na kandydatów zapanował tam szalony chaos, z którego po każdym zachodzie słońca zarysowuje się w coraz silniejszych konturach postać starosty Płażka, jako przyszłego przedstawiciela i obrońcy interesów c. k. rządu. Inaczej być nie może. Nasz wieśniak bowiem, korzący się wobec każdej władzy, mając wybierać między trzema urzędnikami, pokłoni się temu, który „stoit błyższe gubernatora.“

Nakoniec jeden tylko obrazek z ruchu wyborczego naszych braci wyznania mojżeszowego. Dziennik kołomyjski tak opisuje tamtejszy haman wyborczy. „Rozlepiono tu plakaty w języku polskim, ruskim i żydowskim, zawiadamiające o tem, że przyjeżdża pociągiem pospiesznym nasz poseł ulubiony dr. Bloch.“ Pomiędzy chałatowcami wywołała ta wiadomość wielką radość. Utworzono natychmiast banderye huculskie, które robiły wrażenie obchodu hamana. Żydzi poprzybierali się w sieraki, białe szerokie spodnie perkalowe, kapelusze huculskie, wsiedli na szkapy i wyruszyli na dworzec. Na czele kawalkaty postępował chałatowiec z chorągwią kahału. Utworzyło się formalne zbiegowisko, które podążyło wraz z banderyą na dworzec. Po drodze krzyczano „wiwat Bloch!“ Na dworcu przemówił Bloch do zebranych tłumów, poczem wsadzono go do sanek i odprowadzono wśród okrzyków i z wielką paradą do hotelu Angielskiego, gdzie rabin florysdorfski układał ze swoimi poplecznikami plan kampanii wyborczej. Po drodze z dworca do hotelu cisnęły się tłumy żydowskie do sanek Blocha — odpędzali ich członkowie banderyi okrzykami: „gaj weg!“, a natrętnych bili laskami, w zbytniej gorliwości o bezpieczeństwo Blocha; dostało się przytem i rabinowi, który aż krzyknął z radości. Pomimo tej wstrętnej farsy wybór Blocha jest zapewniony, jakkolwiek przeciwny kandydat Mejseles rozporządzać ma grubą monetą. Za Blochem przemawia fanatyzm chałatowców i poparcie „sfer decydujących.“

---

odjechał. Że zaś w krajach szczycących się wyższą cywilizacyą i rzymskiem rządzonych prawem wyuczył się po łacinie, towarzyszący mu jak cień wierny sługa murzyn utrzymuje, że pan jego coraz częściej pomrukiwał: *Mutato nomine! Mutato nomine!*

Ze zwierzeń też czarnego Reszyda wiadomo, że pana jego najprędzej, bo nazajutrz i dla Reszyda zdradziła jakaś biała uniełica. Od amazonki uciekł sam, po tygodniu, a przy sawantce i trzech dni nie wytrwał.

Na większą część tych wolnych ptasząt złote zastawiać trzeba było sidła. Były i takie, co się same do samotrzasku cisnęły, by jaknajprędzej z niego wyfrunąć. Mało która strzedz się umiała sama, a z niejedną nie poradziliby sobie całego wschodu rzezańce. Podejść, intryg, szlochów, zazdrości bywało tam tyle, jeśli nie więcej, niż w haremach, z dodatkiem zalotności, pretensyj wszelkich, obłudy, kradzionej zamiast szczerej rozkoszy, fałszywej skromności i fałszywej zmysłowości.

Może to i nieprawda, lecz tak utrzymywał Reszyd. Bal Reszyd w czarnych Europę widzieć musiał barwach, bo klął się na Allaha, że w rodzinach szczycących się jednożeństwem... a no! hanum otoczona była wielbicieli rojem, lub bardziej kwaśna, niż majestatyczna, rozbłysłem od zazdrości okiem łowiła mrugania znawcy, jakiemi się jej małżonek porozumiewał z Hassainem przy lada wzmiance o almach, odaliskach... *Nomine*, powtarzał rozczarowany Hassain i już ku wielkiej Reszyda radości zamyślał wrócić do domu, gdy go dziwne dobiegły wieści.

Na północy, na samej, zaczarowana leżała kraina Nic tam złotego nie przypominało wschodu: ni niebo, ni ziemia, ni ludzie. Ciemne bory okalały równiny, maczające się w mgłach sinych lub śniegach puszystych. Niebo na liliowe i szare rozpadło się pasma, w najpogodniejsze dni tylko bladoniebieskie, zielonkawe niemal przywdziewając barwy, a smutek osiadł i na ludzi czołach, na niewiast ciebe leża zarzucając tajemniczego uroku zasłony, w dziewic przejrzystych źrenicach niezgłębione rozrywając tonie, a wyniosłym matronom królewskiego użyczając majestatu.

I dziwno, w krainie tej panowały obyczaje. Z dawien dawna kobieta królową tu była, siostry do pracy na jednym z braćmi stawały zagonie, wolny głos w wolnej zabierały radzie, równe też z braćmi dzierżyły prawa i przywileje. Niewiasta tyle tam ważyła, co mąż, dziewica, co rycerz. Po rękę ich i wiano królewięta zginali kolana. Wolne śród wolnych, dumne śród dumnych północnianki!

Śród nich pierwsza królewien królowa, z pozoru tylko ziemianką była. Krążyły wieści, że na chrzestną matkę zaproszona wioska w niewieście przedziwnej urody kształty tchnęła samą treść niewieściego ducha, to też nowa Ewa wszystkie kobiece posiadała zalety, od zwykłych niewieścich przywar wolna... czasem tylko grymaśna nieco ot tak, trochę, troszeczkę. Nie zawsze też konsekwentna... Tak przynajmniej utrzymywali mężczyźni, jak gdyby ta kobieca logika logiką nie była dlatego, że od logiki panów świata ciasnemi zwykła kroczyć tory.

(D. n.).

Niebawem zakończy się cała komedya przed urną wyborczą, a od ostatniego jej aktu zawisły losy kraju na przeciąg długiego szeregu lat.

Beta.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W chwili, gdy piszemy naszą kronikę, walka wyborcza w Austryi wre z całą namiętnością stronnictw, zażerających się na śmierć. Rezultat jej nie jest dotychczas wiadomy, bez wątpienia jednak pójdzie on w kierunku, wykreślonym przez nowe położenie rzeczy. A więc według wszelkiego prawdopodobieństwa zwycięzcami będą rycerze lewicy niemieckiej i młodo-czesi. Wnosząc z wróżb i faktów dokonanych, należałoby przypuszczać, że zastęp Riegera zostanie bardzo przerzedzony i że na szalach kombinacyj politycznych nie będzie stanowił wagi, z którą rząd liczyć się musi. Telegraf wspomina również o tryumfach antisemitów, wiadomo jednak, że ten żywioł często wygrywa bitwy gębą i z rzemiosła kłamie. Jest to fakt dziwny i zarazem charakterystyczny, że nie było i niema w świecie stronnictwa, któreby liczyło tylu i tak bezczelnych łgarzów, jak antisemityzm. Widocznie ta wada spoczywa w przykazaniach jego katechizmu.

Gazety niemieckie zużyły w ostatnich dniach nieco ten swych obelg przeciwko Francyi, a szczersze zaczęły obłudnym zdzierać maski szowinizmu, przypominając im daleko gorsze grzechy tego samego rodzaju. Nie zachwyciło ich przytem cofnięcie ulg paszportowych na granicy francusko-niemieckiej, zwłaszcza gdy tę lichą zemstę skarciły gazety angielskie, które powinnyby przecież odczuwać krzywdę (gdyby istniała) córki ich królowej. Na domiar zawstydzenia, podczas gdy mściciele obrazy cesarzowej Fryderykowej skruszyli kopie, ona sama w listach do syna i matki oświadczyła, że z pobytu swojego w Paryżu jest wielce zadowolona i że nie spotkała jej tam żadna bezpośrednia nieprzyjemność.

Cesarz niemiecki znajduje się widocznie w stanie nerwowego podrażnienia i nie może utrzymać ciągłości w swem postępowaniu. Zaledwie na uczcie brandeburskiej wygłosił, że nie chce być monarchą żadnego stronnictwa i stać będzie po nad wszystkiemi, polecił kanclerzowi ostro natrzeć w sejmie na postępowców. Mówimy: polecił, gdyż trudno przypuścić, ażeby Caprivi, człowiek łagodny, grzeczny i nieposługujący się bronią swego poprzednika, wykonał ten atak z własnego natchnienia i według metody Bismarka. Słuchając jego mowy, zdawało się, że mu ją przysłano z Friedrichsruh: ta sama ostrość, te same przygryzki osobiste, ten sam podział stronnictw na kozłów i baranów. Richter zaznaczył to naśladownictwo, zapowiedziawszy, że później rozprawi się z bismarkującym Caprivim szczegółowiej. Możemy więc być przygotowani na znaczne odchylenie się rządu od strony liberalnej ku konserwatywnej.

Ten sam ruch odbył się w Rumunii, której dotychczasowe ministeryum złożyło swoje teki. Wyszło ono z łona większości sejmowej zachowawczej, ale umiarkowanej i pojmującej konieczność pewnych reform, lecz kopalne mamuty senatu, oporne wszelkim zmianom, widziały w niem rewolucyonistów. Wskutek starcia z tem muzeum politycznem gabinet generała Manu musiał podać się do dymisyi. Król powierzył utworzenie nowego generałowi Florescu, który dogodzi senatowi, ale wyzwie przeciwko sobie Izbę deputowanych. Zatargi te będą trwać nieustannie, dopóki nie zostanie usunięta stara rudera bojarów, która powstrzymuje rozwój narodu.

O nowym prezesie gabinetu serbskiego *Nowoje Wremia* tak mówi: „Paszić należał zawsze do najlepszych stronników stosunków przyjacielskich Serbii z Rosyą. Na zachodzie nazywano go zwykle „głową partyi rusofilskiej,“ niektóre zaś dzienniki austryackie zaczynają już „wyrażać nadzieję,“ iż „sympatya“ nowego ministra ku naszej ojczyźnie nie przeszkodzi mu dbać o utrzymanie dobrych stosunków z innemi państwami. Nam się zdaje, że nie może być nawet mowy, iżby podobne nadzieje nie urzeczywistniły się. Nikt w Rosyi nie pragnie zatargów Serbii z którem kolwiek z mocarstw zachodnich, nie wyłączając Austro-Węgier, o które właśnie chodzi gazetom austryackim. Uważamy za rzecz dostateczną, jeśli dobre stosunki Białogrodu z Wiedniem nie dojdą do chęci ślepego wykonywania przez rząd serbski żądań dyplomacyi austryackiej. Od p. Paszića takiej chęci naturalnie spodziewać się nie można, a stąd objęcie przez niego władzy wydaje się nam wypadkiem, rokującym, z ruskiego punktu widzenia, nadzieję dobrego obrotu serbskiej polityki zagranicznej.“

BADANIA NAUKOWE.

JAN ŚNIADECKI.

wobec współczesnej metafizyki niemieckiej i dzisiejszych dążeń filozoficznych krytycznie przedstawiony przez dr. Aleksandra Skórskiego. Lwów. 1890.

Treść dzieła niezupełnie odpowiada zamiarowi, oznaczonemu w zagłówku. Działalność filozoficzna Śniadeckiego oceniona tu ze stanowiska współczesnej metafizyki niemieckiej. Co się tyczy jej stosunku do dzisiejszych dążeń filozoficznych, ten bynajmniej nie jest rozebrany; o kierunku doświadczalnym, którego głównymi przedstawicielami są anglicy, ale który znajduje również licznych zwolenników nie tylko we Francyi i Włoszech, ale nawet wśród niemców — nie napotykamy w dziele p. Skórskiego prawie żadnej wzmianki. To bowiem, co autor mówi o Locku i szkockiej filozofii z powodu Śniadeckiego, dotyczy właściwie dążeń filozoficznych przeszłych, od których dzisiejsze wielce się różnią. Z kilku zaś pobieżnych napomknień o Millu, nie zawsze wolnych od stronności, nie podobna dowiedzieć się o naturze dążeń, których Mill jest jednym z główniejszych apostołów. Ściśle więc rzecz biorąc, autor daje nam poznać tylko, jakie jest stanowisko Śniadeckiego wobec współczesnej metafizyki niemieckiej i dążeń filozoficznych, które w swoim czasie reprezentowali Locke, Hume, Reid i Dugald Stewart. Nawet w takiem ograniczeniu pojęte zadanie nie jest małej wagi — i przyznać potrzeba, że autor wywiązał się z niego należycie.

Jak wiadomo, współczesna metafizyka niemiecka rozwija się w kierunku, wskazanym przez Kanta. Jest to kierunek krytyczny, który, wychodząc z założenia, że myślenie w sprawie poznania jest czynnikiem samodzielnym, usiłuje wykazać, jakie są pierwiastki wiedzy, które pochodzą z czystego myślenia i stanowią jej formy, a jakie, których dostarcza jej doświadczenie i które stanowią jej materyę. Kierunek ten właśnie stanowi akt wiary p. Skórskiego i służy mu za punkt wyjścia w ocenianiu zasług Śniadeckiego na polu filozofii.

Trudno brać komuś za złe, że jest tych lub innych przekonań, jeżeli te przekonania są szczere i wypływają z wewnętrznej potrzeby, jeżeli są aktem wiary, opierającej się czy to na podstawach czysto rozumowych, czy też na pobudkach uczuciowych. Jakoż procesu autorowi wytaczać nie myślę o to, że uważa kantyzm w tej formie, w jakiej on dziś występuje, za kierunek myślenia najbardziej odpowiadający wymaganiom wiedzy. Pod względem bowiem przekonań, jak i pod wszystkimi innymi, ulega człowiek ścisłemu determinizmowi, który nie dozwala mu być takim, jakim by naraz chciał pod chwilowym nastrojem duszy, ale musi być takim, jakim go czynią wewnętrzne warunki jego bytu — jego usposobienia, odziedziczone i nabyte, jego uczucia i skojarzenia wyobrażeń. Że zaś przekonania autora są szczere i głębokie, znać to z samego wykładu, pełnego powagi i spokoju. Trzyma się on ściśle gruntu naukowego i o tyle tylko czuje się upoważnionym do wypowiadania tych lub innych sądów o rzeczy, o ile je może poprzeć i uzasadnić dowodami, które z właściwego stanowiska zdają mu się być słuszne i wystarczające. To też w całem jego dziele nie spotykamy ani razu owej fałszywej deklamacyi, do jakiej wciskają się zwykle ci, którym brak argumentów na pokonanie przeciwnika, ani sekciarskiego fanatyzmu, nieodłącznego od ciasnoty myśli, jakim się odznaczają zwykle wszyscy, którzy nie wyważyli swych przekonań z głębin duszy, lecz je przyjęli, jako rzecz modną, cieszącą się uznaniem, a zarazem zapewniającą swym adeptom poklask, a nierzadko i bardziej konkretne korzyści. W wygłaszaniu swych zdań i przekonań nie ogląda się autor na to, jakie też wrażenie zrobią one w tych lub innych sferach — dla tego można wątpić, ażeby dzieło jego uzyskało zupełną aprobatę ze strony stojących na straży tradycyi i porządku społecznego, jakkolwiek pod wielu względami może im się podobać.

Bądź co bądź szczerość przekonań nie zwalnia autora od moralnej za nie odpowiedzialności, tem bardziej, gdy podług nich ocenia przekonania odmiennej natury i o nich wyrokuje. Jakąkolwiek przyznamy wartość kantowskiemu krytycyzmowi, musimy się zgodzić, że nie nadaje się on bardzo do słusznego ocenienia kierunku, którego Śniadecki był przedstawicielem. Chociaż bowiem zamiarem Kanta było pogodzenie idealizmu z empiryzmem, na zgodzie tej właściwie idealizm tylko wyszedł zwycięzko, gdyż mu została przyznana lwia część zdobytej wspólnie wiedzy. Gdy przy tem zważymy, że Śniadecki był jednym z najzacieklejszych przeciwników Kanta, którego ogłaszał za apostoła ciemnoty, wznawiającego średniowieczny scholastycyzm — to łatwo pojąć, z jakiemi trudnościami musiałby autor walczyć, gdyby chciał koniecznie utrzymać się na stanowisku zupełnej bezstronności. Jeżeli tym trudnościom zupełnie nie podołał, winy tego szukać potrzeba nie w braku dobrej woli, ale w naturze zadania, którego się podjął, a które z konieczności musiało go niekorzystnie usposobić dla Śniadeckiego, jako filozofa.

W każdym razie przyznać potrzeba, że po przeprowadzonem przez autora śledztwie i ostatecznem jego orzeczeniu, stanowisko Śniadeckiego w naszej filozofii nie przedstawia się tak nieszczęśliwie, jakby się tego domyślać można było z ryczałtowego wyroku p. Struwego, który go uznał winnym nie tylko sensualizmu, ale i empiryzmu, pomimo że przeciwko temu ostatniemu zarzutowi świadczy najwymowniej przewodnia myśl wszystkich pism filozoficznych naszego matematyka, który wprawdzie inaczej pojmował zadanie metafizyki, niż je sobie wyobraża profesor warszawski, nie mniej jednakże rozumiał tak dobrze, jak i p. Struwe, że umysł ludzki nie może poprzestać na samem tylko uporządkowaniu faktów empirycznych.

Autor stawia dwa główne zarzuty Śniadeckiemu, a mianowicie: 1) że nie umiał należycie odróżnić w nauce Kanta tego, co stanowi jej istotę, od tego, co było w niej pierwiastkiem przygodnym, mającym swe źródło nie w głównym pomyśle, ale w jego przeprowadzeniu, na którem musiały się odbić nie tylko indywidualne usposobienia twórcy krytycyzmu, ale i nabyte nawyknienia myśli do przesadnego formalizmu i 2) że zboczenia filozofii Fichtów, Schellingów i Heglów, uznawszy za logiczne następstwa nauki mędrca królewieckiego, uderzył na

nią z całą zapamiętałością i zamiast niej za jedynie zbawienną ogłaszał filozofię zdrowego rozsądku, która podcinając skrzydła myśleniu, zniżała orli jego lot do poziomu grzędy zagrodowej, zamykającej przed nim obszerne pole dociekań filozoficznych.

Jakkolwiek niepodobna odmówić pewnej słuszności tym zarzutom, potrzeba jednakże pamiętać, że ile razy Śniadecki wkraczał na pole filozofii, czynił to z pobudek czysto obywatelskich, występował nie jako filozof z zawodu, który ma na oku wyłącznie zagadnienia naukowe, ale jako człowiek, który słusznie lub niesłusznie upatrując grożące narodowej oświacie niebezpieczeństwo ze strony doktryny, wiodącej konsekwentnie do wyników, niezgodnych z wymaganiami wiedzy i warunkami rozumu ludzkiego, postanowił ostrzedz przed nią swój naród, a zarazem wykazać, jaki jest właściwy grunt, którego się myśl trzymać powinna, jeżeli pragnie zabezpieczyć się od niepotrzebnych subtelności i uniknąć tem samem błędów filozofii niemieckiej. Pisząc swą „Flozofię umysłu ludzkiego," nie sięgał on po palmę oryginalności. Nie szło mu o wzbogacenie literatury utworem samodzielnym, torującym nowe drogi myślenia, ale oto głównie, aby dać społeczeństwu książkę, z której ono mogłoby się dowiedzieć, jakie są istotne źródła poznania i jego warunki, któreby wytknęło mu stanowisko, jakie ma zająć wobec prądów, przeciskających się do nas wówczas z sąsiednich Niemiec.

Że obawy Śniadeckiego nie były płonne, że jego przestrogi i rady były zbawienne, dowodzą tego wszystkie późniejsze próby stworzenia narodowej filozofii z pierwiastków, zapożyczonych od Schellingów i Heglów — pracy, w których zużyły się napróżno takie talenty, jak Trętowski, Libelt i Cieszkowski, że już pominę Gołuchowskich i Kremerów. Gdyby nasi filozofowie poszli byli za wskazówkami Śniadeckiego i uprawiali filozofię doświadczalną podług zasad przyjętych przez anglików, moglibyśmy mieć dzisiaj rzeczywiście literaturę filozoficzną samodzielną — i rozwój naszej oświaty możeby uchronił nas od szukania dla siebie zbawienia w jezuickim ultramontanizmie!..

Bądź co bądź, dzieło p. Skórskiego, odznaczające się gruntowną znajomością nie tylko współczesnej filozofii niemieckiej, ale i dawniejszej, tudzież trafności rozumowania na podstawie właściwych sobie założeń, wykazuje dokładnie stosunek Śniadeckiego do metafizyki niemieckiej i pod wielu względami rozjaśnia jego stanowisko w filozofii. To też nie małą przynosi ono korzyść. Żałować tylko należy, że jakkolwiek napisane jest po polsku, ale w stylu czysto niemieckim — i to w stylu, z jakim tylko w dziełach dawniejszych filozofów niemieckich można się dziś już spotykać. Nadto za wiele w nim jest polemiki z pp. Straszewskim i Struwem. Ustępy tego rodzaju, na każdym kroku spotykane, lubo uwydatniają pewne zagadnienia sporne, utrudniają przecież czytelnikowi śledzenie za biegiem myśli autora, która i bez tego wymaga wielkiego natężenia uwagi, ażeby nie zgubić wątku wśród argumentacyj, zmuszonej nieraz zawieszać rozpoczęty tok wywodów dla wzmocnienia ich dowodami, leżącymi niejako na uboczu.

Władysław Kozłowski.

SZKICE SOCYOLOGICZNE

(JUŻAKOWA) *).

Przed laty dwudziestu spostrzegamy w Rosyi bardzo silny rozwój studyów socyologicznych. Poszukiwania, podjęte w Europie zachodniej, znalazły tu namiętny oddźwięk. Zwłaszcza potężnym był wpływ Comtea i Spencera. Wątpię, aby w jakimkolwiek kraju, z wyjątkiem Włoch, równie często wspominano oba te nazwiska; z pewnem zastrzeżeniem moglibyśmy nawet dodać, że cały prąd socyologiczny wspomnianej epoki obracał się w Rosyi niemal wyłącznie około doktryn Comtea i Spencera. Wprawdzie ten ostatni myśliciel, mimo że wszystkie jego prace aż do pierwszego tomu *Socyologii opisowej* były tłomaczone na język ruski, uległ nader nielitościwej chłoście, często niezasłużonej. Okoliczność ta jednak nie zmienia postaci rzeczy. W Niemczech np. o ojcu filozofii syntetycznej zupełnie głucho; nawet krańcowe odłamy z obojętnością patrzą na zszyte niezgrabnie wywody praktyczno-socyologiczne Spencera. W Rosyi tymczasem rzucano się nań zajadle, jakby na jakiegoś niezrównanego a szkodliwego olbrzyma. Zresztą były to najpiękniejsze chwile „młodej szkoły" socyologów ruskich. Talent publicystyczny Michajłowskiego jaśniał wtedy całym swoim blaskiem, odziany w artystycznie ułożone sofizmaty lub paradoksy. Spencer nie spotkał w żadnym kraju tak zręcznego i utalentowanego przeciwnika, lecz znowu mógłby śmiało powiedzieć, że i Michajłowskij jedynie obracał się w wysnutej przezeń pajęczynie socyologicznej. Myśliciel angielski wystawił znane dowodzenie, że społeczeństwo jest organizmem, i wyprowadził stąd odpowiednie wnioski. Lecz w gruncie rzeczy całe jego dowodzenie jest obracaniem się w kółku czczej tożsamości. Jeżeli wejrzymy głębiej w istotę całej jego teoryi, spostrzeżemy, że jest ona tylko próbą ułożenia szczególnego słownika — biologiczno-społecznego. Drogi komunikacyjne dotychczas zwano drogami komunikacyjnemi, Spencer je ochrzcił mianem społecznego systemu krwionośnego, drutom telegraficznym nadając nazwę nerwów, brukowi — nabłonka itd. Czy jednak od ułożenia takiego słownika wiedza nasza o sprężynach rozwoju społecznego postąpiła chociażby krok dalej? Życie europejskie odpowiedziało na to w sposób bardzo dobitny. Pomimo że teorya Spencera miała na celu obronę pewnych istniejących interesów klasowych i poderwanie innych, nikt z zagrożonych nie wystąpił przeciwko niej. Upadła ona a raczej poszła w zapomnienie swoją własną niemocą, tem, że nie dawała klucza do zrozumienia zjawisk społecznych i że jedynie była aktem chrztu dla tych zjawisk nazwami biologicznemi. Tymczasem krytyką teoryi organizmu Spencerowskiego zajęła się gorliwie młoda szkoła socyologów ruskich. Imię jego deklinowano i konjugowano w najrozmaitszy sposób. Naturalnie przyjęto samą doktrynę, że społeczeństwo jest organizmem lub raczej czemś pokrewnem. Spencer w sposób przedmiotowy usiłował wykazać konieczność całkowania i różniczkowania społecznego. Michajłowskij i inni słusznie zauważyli, że takie zróżniczkowanie jest tylko hasłem klasowem burżuazyi europejskiej, i podnieśli pytanie, jak jednostka czuje się w tem zróżniczkowaniu. Pytanie to rozszerzyli na wszystkie czasy i wieki, wysuwając w ten sposób kwestyę o stosunku osobnika do każdorazowej budowy społecznej. Nie ulega wątpliwości, że zagadnienie to jest najzupełniej uprawnione w socyologii, lecz przy rozpatrywaniu go należałoby brać pod uwagę stany podmiotowe jednostki współczesnej z daną epoką historyczną. Tymczasem ową jednostkę pojmowano inaczej — obdarzono ją bezwiednie myślami człowieka wieku XIX. Rozdzierano szat z oburzenia na widok stosunków historycznych, które jednakże ówczesnej istocie ludzkiej wydawały się rzeczą normalną i moralną, obwieszczono jako nową metodę badań, jedynie właściwą socyologii — jako tak zwaną metodę *subjektywną*. Ileż to skruszono kopij przeciwko „metodzie objektywnej," ileż to zadrukowano papieru zaciekaniami na temat subjektywizmu!

Po latach 20 okazało się, że cała ta „młoda szkoła" socyologów była tylko jednem wielkiem nieporozumieniem. Naturalnie występując przeciwko doktrynom, nie chcielibyśmy dotykać ludzi, względem których jesteśmy z możliwie największym szacunkiem.

Zajęliśmy się tą nieco odległą przeszłością z powodu *Szkiców socyologicznych* p. S. Jużakowa. Autor nie posiada talentu Michajłowskiego, tego bezwarunkowo najwybitniejszego po Stirnerze i Proudhonie rzecznika anarchizmu teoretycznego (którego naturalnie nie należy mieszać z dzisiejszymi anarchistami). Lecz za to prace Jużakowa bezwarunkowo można zaliczyć do rozpraw naukowych. Sam on nigdy nie dał uwieść się mamidłom owej metody „subjektywnej." Zrozumiał, że jakkolwiek patrzeć będziemy na prace Spencera, przedmiotowy sposób badania, użyty przez badacza angielskiego, jest jedynie zasługującym na nazwę naukowego. A chociaż z całej młodej szkoły jeden autor *Szkiców socyologicznych* najmniej rzucił pocisków w stronę Spencera, najbardziej jednak wyzwolił się z pęt jego filozofii — więcej, niż Michajłowskij. Zresztą wśród socyologów europejskich Jużakow posiada właściwe sobie rysy. Nazwałbym go śmiało „socyologiem kosmicznym," gdyż chętnie usiłuje rozpatrzeć społeczeństwo jako cząstkę przyrody i przedstawić, jak i czem wyróżnia się ono z pomiędzy innych dziedzin wszechświata.

Przyjrzyjmy się jego wywodom, o ile zostały zawarte w obecnej książce. Zauważymy, że wpływ Comte'a jest tutaj bardzo silny.

Społeczeństwo stanowi cząstkę natury i można je określić, jako szczególne ciało kosmiczne. „W stanie tym utrzymuje je specyalny układ zasadniczych sił przyrody; skupia ono i rozprasza energię i stosownie do tego całkuje się lub rozcałkowywa." Myśl tę autor dalej opracował w jednym ze świeższych swoich szkiców, gdzie rozpatruje, jak energia wszechświatowa i w jakich rzeczach zostaje skupiona, jak społeczeństwo z jego żywymi członkami i martwemi narzędziami można wyrazić w terminach materyi i ruchu. Lecz nie dość tego, że społeczeństwo jest cząstką kosmosu, jest ono bowiem jeszcze cząstką żywego kosmosu organicznego. Z tego powodu podstawia ono nieustającą wymianę materyi i siły, jak każdy organizm żyjący, nieustające przystosowywanie się wzajemne warunków zewnętrznych i wewnętrznych. Lecz z drugiej strony nie jest ono organizmem, chociaż wraz z nim przedstawia skupienie niższych i organicznych jednostek. W organizmie różniczkowaniu ulegają organy; działalność taka różniczkowanych części jest konieczną podwaliną dobrobytu całości; tymczasem w społeczeństwie różniczkują się same działalności (funkcye), służące do zaspokojenia życia społecznego, lecz jednostki (ludzie) nie przechodzą przez zróżniczkowanie, a nadto jednostka społeczna nagina całość odpowiednio do swoich celów. Autor pomiędzy pojedynczym organizmem, a społeczeństwem umieszcza tak zwane zbiorowisko żywe, z którego oba powstają stosownie do warunków. Rozbiera je też bliżej, aby skreślić dokładnie różnicę pomiędzy obiema wyprowadzonemi kategoryami.

Żywe zbiorowisko przedstawia naprzód zasadnicze procesy odnawiania życia, rozmnażania, dziedziczności, zmienności, chorobliwości, następnie zaś zjawiska złożone, będące następstwem współdziałania zasadniczych procesów organicznych oraz wpływów zewnętrznego (martwego lub żywego) otoczenia. Postępowy rozwój takiego żywego zbiorowiska z jednej strony zależy od wpływów otoczenia i polega na przystosowywaniu się do niego, z drugiej zaś od dokonywających się wewnątrz niego dobo-rów: naturalnego i płciowego. W ten sposób

*) *Sociologiczeskije etiudy.*

cała ewolucya jest tylko biernem przystosowywaniem się życia do warunków zewnętrznych. Jeżeli bierność ta wzrośnie do najwyższego stopnia, natura zaś pojedynczych jednostek pozwoli na to, powstaje z czasem z żywego takiego zbiorowiska organizm; jednostki zostają zróżniczkowane i zamienione na organy. Przeciwnie, jeśli żywe zbiorowisko, przystosowywując się do wymagań otoczenia, zaczyna jednocześnie wyłaniać własną atmosferę (narzędzia itd.) i kłaść ją pomiędzy sobą a resztą przyrody, i jeśli w ten sposob oddziaływa czynnie na swoje otoczenie, wtedy ukazuje się społeczeństwo i postęp polega nie na przystosowywaniu się do warunków zewnętrznych, lecz na przystosowywaniu tych ostatnich zgodnie do potrzeb członków społeczeństwa. Stworzona wewnątrz społeczeństwa atmosfera rzeczowa i duchowa, która pozwala mu przełamać wpływy zewnętrzne, nosi nazwę kultury społecznej. Naturalnie, życie społeczne jest po dawnemu skupianiem i rozpraszaniem materyi i energii kosmicznej; podobnie polega ono wciąż na wymianie materyi, lecz spełnia to już za pomocą szczególnych urządzeń społecznych. Rozwój społeczeństwa biegnie pod wpływem fizycznego otoczenia, przedstawia zjawiska życia, lecz jeszcze nadto stwarza atmosferę kulturalną. Otóż całe zadanie autora polega na określeniu wzajemnej roli tych wszystkich czynników w dotychczasowym rozwoju społecznym.

Niepodobna nam wchodzić w drobiazgi. Zauważymy, tylko iż zdaniem autora postęp wśród ludzkości polegał na wyrugowywaniu znaczenia doboru płciowego, dzięki stworzeniu kultury społecznej oraz na zniesieniu naturalnego. W związku z tem Jużaków rozpatruje wzrost potrzeb społecznych i środków zaspokojenia ich i ogranicza, a nawet odrzuca doktrynę Malthusa. Podobnie bezpośredni wpływ otoczenia fizycznego maleje wraz z stworzeniem kultury technicznej.

Taką jest zawartość *Szkiców socyologicznych*. Czytelnika, ciekawego szczegółów, jak autor wywiązuje się z podjętego zadania, odsyłamy do samego dziełka.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Przeżycie się naturalizmu. — Kierunki nowe. — Symbolizm i dekadentyzm.

„La République sera naturaliste, ou elle ne sera pas“ *) — oto hasło, które niedawno jeszcze rozlegało się wszechpotężnie po całym obozie literackim Francyi. „Elle sera symboliste“ — twierdzą obecnie najmłodsi jego rekruci.

Naturalizm stanowczo się przeżył. Pretensye, jakie sobie niedawno rościł do stanowiska jedynie możliwego kierunku, po za którym nie ma zbawienia, obecnie, w chwili bankructwa, jeszcze dosadniej pokazują całą błahość wszelkich ogólnych określeń w zastosowaniu do literatury i sztuki. Jeżeli się bliżej zastanowić, to każdy kierunek znajduje zupełne usprawiedliwienie w otaczających go warunkach — zasada ta jest punktem wyjścia współczesnej krytyki naukowej. Dla przykładu weźmy formuły: „sztuka dla sztuki“ i „sztuka dla tendencyi.“ Każda z nich jest słuszna w swojem miejscu i czasie. Żadna natomiast nie ma znaczenia bezwzględnego. Toż samo powiedzieć można i o kierunkach. Jeżeli klasycyzm odpowiadał we Francyi epoce monarchii szlacheckiej, romantyzm — dążeniom mieszczaństwa do wyzwolenia indywidualizmu z krępujących go więzów średniowiecznych, to naturalizm odpowiadał epoce zupełnego zwycięstwa tej warstwy. Dobiegła ona do mety, osiągnęła cel. Nie mając żadnych już dążności, żyła w praktyce chwilą obecną, w sztuce — malowała ją. Naturalizm więc francuski był ściśle związany z biegiem życia społecznego. Rzecz dziwna: w krajach, gdzie mieszczaństwo nie zdążyło spełnić całej swej missyi historycznej, gdzie ono posiada jeszcze pewne cele i zadania, sztuka beztendencyjna przyjąć się nie może. Jesteśmy przekonani, iż u nas największy geniusz naturalizmu nie zaszczepi. Nie ma bowiem klasy zupełnie zadowolonej, osiadłej na laurach. Literatura i sztuka muszą więc mieć tu charakter tendencyjny.

Ale raj mieszczański i we Francyi szybko stracił swe czary, zwłaszcza że życie realne wzięło na siebie rolę nielitościwego krytyka i niszczyło jedno po drugiem wszelkie złudzenia. Nędza, przełomy, zwyrodnienie fizyczne i moralne — oto odwrotna strona wspaniałego medalu. Naturalizm odmalował ją nam z niemniejszą przedmiotowością, niż stronę dodatnią. Na tem polega jego zasługa, ale zarazem na tem kończy się jego rola. Obecnie nikt już we Francyi nie wierzy w sztukę naturalistyczną. Wraz z głębokim rozstrojem stosunków społecznych, myśl ludzka, zarówno jak buduje nowe systematy filozoficzne i socyalne, podobnie szuka nowych form i nowych ideałów artystycznych.

Jest to dążność tembardziej konieczna, iż gleba dotychczasowa wyjałowiała doszczętnie i wymaga świeżej uprawy i świeżego posiewu. Stanowczo nie ma co czytać. Wydaje się jakoby umysł ludzki wykonał cały swój obieg, wyczerpał wszystkie możliwe źródła pięknej formy i treści, wciąż powracając na jeden z punktów, na którym już poprzednio się znajdował. Rozkosz artystyczna staje się tak rzadką, iż można ją uważać za zakazaną prawie. Człowieka, obznajmionego z głównemi arcydziełami literatury europejskiej, nie zachwyci już ani egotyzm Lotiego, ani psychologia Bourgeta, ani naturalizm Zoli, ani nawet podsmażona średniowieczczyzna Sienkiewicza. Na wszystkich tych punktach jest on już zbyt zblazowany.

„Impuissance d'aimer,“ na którą skarży się chwila bieżąca, wikła się przez analogiczną niemoc odczuwania wrażeń artystycznych — wprost dla braku ich, przy niesłychanych wymaganiach współczesnego człowieka. Można mu tu wprawdzie czytać morały na temat przesytu, zepsutego podniebienia itd. Ale w danym razie zarzuty te będą niesłuszne. Cóż on winien, iż przed dwoma z górą tysiącami lat istniał Eschylos i że następnie na widnokręgu literatury ukazało się kilkanaście jaskrawych meteorów, wobec których drobniejsze gwiazdy i gwiazdki blakną? Biorąc do ręki książkę, mamy już pewien przedsmak tego, co w niej znajdziemy, a zarazem pewien naprzód odczuty niesmak. Szczególnie można to zastosować do współczesnej literatury francuskiej. Jakże ona wyjałowiała!

Z radością więc trzebaby witać wszelkie nowe powiewy, nowe kierunki. Niestety, wszystko, co we Francyi pod tym względom znajdujemy, zawodzi nadzieje: jest to plon rozpaczliwie pusty.

Posnett twierdzi, iż rozwój literacki liczy swe epoki na podstawie nowych faz rozwoju indywidualizmu ludzkiego. Obecny typ możnaby nazwać narodowo-mieszczańskim i ten właśnie cała współczesna literatura przedstawia nam do znudzenia, do przesytu. Wyczerpano go w zupełności. Co przyszłość z sobą przyniesie, trudno jeszcze z pewnością orzec; to tylko wydaje się być niewątpliwem, iż typ człowieka mieścić się będzie w daleko szerszych granicach, ogólno ludzkich, a z drugiej strony, iż typ ten niewątpliwie się pogłębi, dzięki zmianie stosunków społecznych, która już obecnie wyraźnie się zarysowuje. Angielski krytyk sądzi, iż istoty ogólne, jakie u niektórych poetów bieżącego stulecia znajdujemy, poczynając od Goethego (*Faust* szczególnie II część) i kończąc na W. Hugo (szczególnie *Légende des Siècles*), każą przypuszczać pewien zwrot artystyczny, przedstawiający analogię z pierwotnym komunizmem. Ale jeżeli pierwotny ten ustrój tępił wszelki indywidualizm, to przeciwnie ustrój, który rozwój współczesnego przemysłu przygotowywa, otworzy na podstawie zrzeszonej pracy i zrzeszonych bogactw tylko nowe przestwory dla indywidualizmu. Wprawdzie, zdaniem filistrów, ten ostatni wymaga, jako warunku niezbędnego, własności prywatnej. Ale jest to tylko bezmyślny przesąd. Proszę sobie wyobrazić, iż oddano komuś w pacht słońce lub powietrze i że każdy z nas musiałby je nabywać, jak obecnie chleb. Czyż indywidualizm nasz wieleby wygrał na tem uprywatnieniu wspólnych obecnie bogactw? I odwrotnie czyżby nie spadły zeń olbrzymie kajdany, gdyby był pozbawiony troski o chleb powszedni. Nie będę tu wyliczał innych więzów, które nas krępują. Każdy je odczuł na własnej skórze.

Aby nas wyprowadzić z obecnej niemocy i niesmaku, jakie literatura obudza, trzeba będzie przejść do tych właśnie nowych, ukrytych dotychczas stron indywidualizmu. My je przewidujemy na zasadzie rozumowania i nauki. Poezya je natchnie prawdą i życiem. Jest to jedyny sposób jej odrodzenia.

Sądzą wprawdzie niektórzy, iż są to dziedziny, które bynajmniej dla sztuki się nie nadają, i że tylko sklepikarsko-romantyczna miłość uwydatnia najlepiej indywidualizm ludzki, a zatem stanowi właściwy pokarm dla poezyi. Najlepszą odpowiedzią na to jest powszechna obecnie choroba, znana pod nazwą „impuissance d'aimer,“ wywołana przez „analizę.“ Analiza ta w mieszczaństwie jest dość powierzchowna, oparta na braku woli, zdenerwowaniu, a głównie na znikomości uczuć miłosnych. Komu cały przebieg ich od początku do końca jest znany, komu wiadomo, z jak rozpaczliwą jednostajnością one się powtarzają — wiosenny podmuch wiatru, ładna twarzyczka, ponętny gors, rozmowy, przysięgi itd. aż do ostygnięcia — komu wszystkie te akty odwiecznej komedyi są dokładnie znane, ten nie może się zdobyć na te elementarne i głębokie uczucie zachwytu i uwielbienia, które, o ile można sądzić z dawniejszej literatury, stanowiły „istotną miłość.“

Dla ludzi zaś, którzy za cel życia stawiają sobie nie używanie i nie ciasne ramki rodziny, lecz obszerniejszą działalność społeczną, nie ma miary o tyle drobnej, aby w zastosowaniu do życia prywatnego nie okazała się jeszcze zbyt wielką. Otaczające morze nędzy i cierpień jest tak wielkie, iż wszelkie miłosne uczucie, pierwotne, bezpośrednie, wszelkie zapomnienie się bezgraniczne jest niemożliwością. Pierzcha ono albo przed bólem, albo też przed sarkazmem, które obok niego się rodzą. I tu więc analiza, jeżeli chcecie, zabija uczucie, i tu więc jest „impuissance d'aimer.“ Nie wywołuje ono wszakże tego zrozpaczenia, jakie widzimy w burżuazyi hamletyzującej. Miłość staje się więc tylko fraszką dla przyjemnego spędzania czasu, a na jej miejsce występują wyższe ideały i obowiązki. Co się tyczy burżuazyi, to wątpimy, czy jej już w ogóle jakakolwiek literatura pomódz może; dla ludzi zaś żyjących poświęceniem miłość spłowiała, natomiast działalność i ideały społeczne drgają wszystkiemi tętnami poezyi i piękna. W tej właśnie dziedzinie sztuka może znaleźć niewyczerpane źródła, w innym kierunku jest skazana na wyjałowienie.

Powiedzmy odrazu, iż młode, wykluwające się na niwie literackiej we Francyi kierunki ani na jotę wymagań tych nie zaspakajają. Nie tylko nie znajdujemy tu nowej jakiejś strony ludzkiego indywidua-

*) Rzeczpospolita będzie naturalistyczną, lub wcale nie będzie.

lizmu, ale wprost cofanie się do czasów dawno przebrzmiałych, wyblakłych i modnych. Tenże sam romantyzm sklepiczarski w miłości, odgrzewanie starej średniowieczczyzny, a nawet mistycyzmu. Ideały francuskich dekadentów i symbolistów nikogo, rozumie się, nie zachwycą. Ich nawet chorobliwość w najlepszym razie przypomina gimnazistę, który zaciąga się kilkakrotnie cygarem i potem dostaje mdłości. Trudno, abyśmy płakali nad taką chorobliwością — nie rozczula ona nas nawet u Baudelaire'a, a cóż dopiero u obecnych jego epigonów.

Jakkolwiek symboliści i dekadenci posiadają we Francyi dwie oddzielne kapliczki, to jednak żadnych wybitnych różnic dotychczas nie przedstawiają. Na czele pierwszych znajduje się J. Moréas, drugich — Paul Verlaine. Ewangelię ich możemy poznać z „Art symbolique" G. Vanora a także z teoryi Paula Adama. Ten ostatni wyjaśnia nam następujące tajemnice: „Epoka, która następuje, będzie mistyczna. Najdziwniejsze jest to, iż nauka, ta słynna nauka pozytywna i materyalistyczna, nawet ona pokornie ogłosi istnienie pierwiastku boskiego, który odkryje w głębi swych tygłów, w falowaniu swych strun akustycznych i w drganiach swego eteru." Trudno rozumie się poznać, z jakich mętów autor czerpał swe wiadomości o nauce, mniejsza zresztą o to. Zauważmy tylko, iż nowy kierunek wprowadza mistycyzm napowrót i do poezyi. Zresztą cała treść i wszystkie ideały są w nim również błahe i bezmyślne. Bardziej obiecującym jest on pod względem formy. Jest to ten sam prąd, który Wagner wprowadził do muzyki, a prerafaeliści do malarstwa. Harmonia przeważa nad melodyą. „Oni skarżą się, iż na oceanie nie znaleźli białego domku z zielonemi okienicami" — odpowiedziano słusznie tym, którzy żałują, iż w muzyce Wagnera niema melodyi. Stworzenie formy, któraby zbliżyła poezyę do muzyki o tyle, aby sam dźwięk harmonijnie ułożonych liter i wyrazów wywoływał żądane wrażenie, jest dążeniem sympatycznem u symbolistów. Oto kilka wyjątków z Vanora: „Literatura symboliczna jest przedewszystkiem literaturą przenośni i podobieństw: szuka ona pokrewieństw możliwych pomiędzy zjawiskami różnorodnemi z pozoru. Stąd często wyrażenia, które rażą naiwnych i wzbudzają: dźwięk zapachu, kolor nuty i zapach myśli" (Dosłownie: le son d'une odeur, la couleur d'une note, le parfum d'une pensée). A oto inne miejsce. Zadanie sztuki polega na tem, aby: „wyrazić twierdzenie (un dogme) w symbolu, wybrać w słowniku wyrazy rzadkie i cenne, utworzyć styl wyższy i złożony, tłómaczyć wrażenie przez muzykę głosek, przeplatać rytm ściśle z ideą, odrzucić wszelkie opisy, a zastąpić je przez muzykę."

Symbole te są wszakże nawet u koryfeuszów nadzwyczaj ciemne, język niezrozumiały — niektórzy dodają słowniczek do swych tworów — i prozodya oryginalna. Odtworzenie niektórych przestarzałych form (np. „rondel"), wprowadzenie wiersza 15 zgłoskowego itp. wszystko to rewolucye, od których ludzkość, zdaniem symbolistów, niewątpliwie rozpocznie nową erę. Oto kilka nazwisk bardziej znanych: Stefan Mallarmé, Kahn, M. Barès, F. Fénéon, F. Viellé, Griffin, Retté, Raynaud etc.

L. W.

ŚROD MUZ.

V.

Doczekaliśmy się przecie obrazu, który jest i zagranicznym i porządnym naraz. Nie znaczy to bynajmniej, że cudzoziemcom rzadziej, niż nam, udaje się namalować coś dobrego, lecz, że nam nie często udaje się sprowadzić coś możliwego.

„Biczownicy" Karola Marra zostały podobno nagrodzone złotym medalem na wystawie monachijskiej w r. 1889. Bawiliśmy akurat wtedy nad Izarą i pamiętamy, że płótno robiło wrażenie stanowczo słabe i nie obiecywało wcale odznaczenia szczególnego swojemu twórcy. Co prawda, w przedziwnych warunkach ukazało się ono widzom, bo rok przedtem w tym samym salonie, na tej samej ścianie, wisiał tam wielki obraz Josego Benliure, hiszpana, rodzajem swym dosyć pokrewny „Biczownikom," ale wyższy od nich o całą nieskończoność. Było to widzenie w Colosseum, fantastyczne zbiegowisko biczujących się mnichów i pustelników, których wedle rzymskiego podania święty jakiś zwołuje co roku, w dniu zadusznym do ruin olbrzymiego cyrku. Wiszą więc w powietrzu i zbiegają się zewsząd, z grobów na ziemi i z obłoków na niebie, duchy chrześcian, poszarpanych ongi przez dzikie bestye na rozkaz Nerona, by skupić się, niby ćmy nocne, dokoła świecy męczennika, który im coś prawi. Dokoła ascetyczne, rozmodlone twarze starców, pokrwawione biczami plecy zakonników, cały szał wiary średniowiecznej, otulony półmrokiem demonicznym... Ludzie wpatrywali się w nie całemi dniami, nie mogąc oczów oderwać, ani dreszczu stłumić, a gdyby wstał z grobu wielki malarz-poeta, co stworzył cudną wizyę Chrystusa, pochylającego się z krzyża ku S-mu Franciszkowi — Murillo — z pewnością nie powstydziłby się swego rodaka.

Gdy więc nadzwyczajnym zbiegiem zdarzeń ujrzano potem na owej ścianie dzieło Marra — *nota bene* nie było ono natchnione przez utwór Benliurego, albowiem jest zbyt wielkie, by mogła robota nad niem trwać nie więcej nad rok — wzruszano ramionami z podziwu nad ogromem sumiennej pracy, ale każdy czuł w niem pewien brak — czego? Nie sposób określić: brak ducha, sentymentu, punktu, ogniskującego w sobie treść obrazu.

Na naszym gruncie Marr nie ma już tak groźnych rywali, nie możemy go porównywać z innemi malowidłami podobnego typu, musi więc wydawać się pracą wyśmienitą. No, i jest po temu słuszna zasada, bo cokolwiek powiedzieć można o duchowej jej stronie, o pierwiastku poetyckim, to pewna, że w niej złożone są całe skarby malarskiego wykształcenia. Tylko artysta z wielką wprawą techniczną i znający dobrze wszystkie tajniki swej sztuki mógł się i odważyć na temat tak rozległy i trudnościami najeżony i, co ważniejsza, wykonać go dokładnie, wypracować we wszystkich drobnostkach.

Jest to obraz na masę figur obliczony, na moc typów różnorodnych, na popis anatomii malarskiej, daleką perspektywę i — charakter motywu ogólnego. O ten ostatni chodziło przedewszystkiem i znajdujemy go też w samem pojęciu akcyi i jej układzie. Cały drugi plan terenu jest zajęty z prawej strony na wspaniały gmach z pysznemi portalami, który tchnie potęgą i sławą kościoła, a z lewej na domy i place, dachy i krużganki średniowieczne. Procesya flagelantów przeciąga z odległych zaułków ku przodowi i rozwija się wzorzystą wstęgą u wyniosłych stóp świątyni. Część wbiegła już na nie i zdąża do wnętrza, reszta zaś, czyli korpus główny, z biskupem na końcu, pokrytym wielką kapą, z wizerunkiem mosiężnym ukrzyżowanego i świętem dzieckiem na noszach wolno posuwa się po rynku. Śpiewają pieśni pobożne i smagając swe plecy, wznoszą ku niebu pełne ekstazy oczy, ukazują własną krew na obnażonych plecach i opuszczonych do pasa białych szatach. Są tu i młodzi i dzieci prawie, najwięcej jednak starców — a wszystkie twarze wychudłe, blade, ożywione tylko ogniem fanatyzmu. W oddali kłębią się i tłoczą fale księży i mnichów różnych zakonów, a nad nimi malowniczo powiewają chorągwie. Te odległe plany są doskonałe i ogólny efekt sznura procesyi, w oddali ciemnego i ściśniętego, a coraz szerszego i barwniejszego w miarę zbliżania się do ulic szerszych — sprawia prawdziwą rozkosz.

Czy bracia biczownicy na obrazie Marra mają należyty swój wyraz, swój żar, który, czy był szczerym, czy udanym, zawsze jednak musiał ich zamieniać w tłum hałaśliwy, posępny tragiczny? Wcale nie. O ile skądinąd ukorzyć się trzeba przed artystą, że umiał powstrzymać się od efektów tanich, dla gminu, że nie szafował zbytnio krwią, konwulsyami i wrzaskiem, o tyle znów z drugiej strony nie uniknął rażącej monotonii, i nie zdobył się na określoną, dosadną psychologię chwili. Doznaje się przeto wrażenia, jakgdyby sam nie zdawał sobie sprawy z tego co było nutą górującą w tym osobliwym pochodzie, co mu nadawało jego znamię charakterystyczne, a tak przecież odrębne, jaskrawe, cudaczne. W tej słabej ekspresyi niema tonu uchwytnego, silnego, są tylko półtony: trochę bezmyślności, nieco gapiostwa, odrobinka krzyku, jedna dyscyplina, parę rozdziawionych gąb, a wszystkie słabe, nie wrażające się w umysł. Niema tam ani jednej wybitnie charakterystycznej głowy. Jeśli kto nie wie, co to za zwierzę — biczownicy, ten z pewnością nie odtworzy sobie ich znamiennej indywidualności, tej co to oburzała całą Europę i rządy przeciw sobie uzbroiła i tak się ostro odrzynała od tła innych zakonów. A kto wie, ten znowu nie doszuka się u Marra prawdziwych flagellantów. Czyż to nie dowód, że wyraz jest połowiczny? Trzeba mieć albo odwagę traktowania tego co jest brutalne i dzikie — brutalnie i dziko, albo nie porywać się wcale na tematy, mające w sobie coś z gryzącej trucizny.

Niektóre epizody wcale się nie tłomaczą, jak np. owa tłuszcza zakonników, co się już wdarła na schody kościoła i biegnie przed siebie z wyciągniętemi do góry rękoma. Co oni robią? — zagadka.

Słowem artysta rozproszył się na całe setki nagusów, idących po największej części obojętnie, wymodelował z wielką sztuką i starannością torsów bez liku, ale nie *skupił się* nigdzie. Stąd obraz mimo swoje ogromne zaludnienie nie dorósł do wymagań tematu, jest suchy i zimny.

O ileż lepszą jest charakterystyka ludu co przypatruje się, rozciekawiony i wzburzony sensacyą, tej scenie! Widać go wszędzie na balkonach, przed wrotami kościoła, na stopniach; gwałtem przedzierają się do świętego orszaku, podnoszą dzieci do góry, dziwią się, kiwają głowami i stanąwszy zwartą masą, oczami przeprowadzają biczowników. Ten tłum jako całość, jako mrowie głów, chust na głowach i kapeluszy, jako fala, która się ściele i tworzy powierzchnię, jest znakomity i wypukły i żywy. Wiele jest w nim postaci oddzielnych, pochwyconych z finezyą niepospolitą. Ci np. dwaj chłopcy z lewej strony, co biegną, by procesyę wyprzedzić, zarazem wystraszeni i zadowoleni z widowiska, na które patrzą z ubocza — są pomysłem świetnym. Ów ksiądz, pierwszy z brzega i widocznie luzem idący, jako uliczny przechodzień, ma twarz genialnie jezuicką; jego pogarda i skrytość w nasuniętych brwiach, skrzyżowanych rękach i wzniesionym podbródku jest małem arcydziełem. Za to znów halabardnicy są martwemi maszynkami. Ładna dziewczynka-flagelantka jest nad miarę święta i zachwycona; jej ekstazą mogły by się podzielić trzy madonny...

Marr kolorystą świetnym nie jest. Mimo, iż rzecz dzieje się na południu i nie ma słońca, któreby bieliło barwy — koloryt jest przeważnie chłodny i całkiem pozbawiony plam gorętszych. Przeważają tony dzikie, zielone, brunatne, żółtawe, mieszane, nasyconych prawie że nie ma wcale. Nie mogło to leżeć w interesie treści obrazu, boć na przyjemniejszym kolorycie nie by nie straciła, owszem raczej zyskać by mogła przez kontrast między trupiemi ciałami

biczowników a żywym i pstrym deseniem zbiegowiska, zwłaszcza że na płótnie Marra już i tak dużo jest płótna białego, które wprost wzbudza łaknienie rekompensaty.

Nie jest też Marr silnym... w nogach. Jeden z wspomnianych wyżej chłopców ma pedały już nazbyt cienkie, a biegnąc stawia tak stopę, jak gdyby była wykrzywiona; ksiądz z jezuicką twarzą, w szarej opończy, która celuje siłą i logiką światłocienia i miąższością materyi — chodzi nie po ziemi, w danej chwili bowiem żadna z nóg nie stąpa całym ciężarem.

Szczegółowy rozbiór wad i zalet „Biczowników“ za daleko by nas zaprowadził, a przytem nic osłabiłby w niczem faktu, że jest to dzieło artyzmu poważnego„ owoc pracy wielkiej, zmudnej, znakomitego przygotowania specyalnego i bardzo surowego na sztukę poglądu.

Można się też z niego wiele nauczyć, byleby, naturalnie, nie kierować się objaśnieniem i oceną, które za 5 kop. sprzedają w „Zachęcie,“ w takim bowiem razie dowie się widz. że „słońce rozpala bruk i potęguje fanatyzm mnichów“ (sic), kiedy tymczasem mały skrawek nieba, jaki widać na obrazie, szczelnie zasnuty jest obłokiem, no i rzecz prosta, cienie przedmiotów są słabe. Cudowne bywają te egzegezy...

Cezary Jelenta.

OSTATNIE UTWORY H. SIENKIEWICZA.

II.

O ile powszechne uznanie znalazły utwory Sienkiewicza jako obrazy powieściowe, o tyle każdy, stojący po za kołem bałwochwalczem, odmówił im wartości psychologicznej. Rzeczywiście, autor nietylko zdradził w tym kierunku słabość swego talentu, ale po prostu żartował sobie z najelementarniejszych reguł i posunął swą fantazyę do tych kresów, od których zaczyna się bajka, gdzie dziadowie bywają królami, a ze szczotki las wyrasta. Dość wspomnieć o przemianach, jakim uległ w ciągu trylogii jego Zagłoba, z początku Falstaf, błazen, tchórz i opój, a później dzielny rycerz, wódz i dostojnik Rzeczypospolitej. Ustaliło się też do pewnego stopnia przekonanie, że autor „Potopu“ z psychologią charakterów rady sobie dać nie może. Dla odparcia tych mniemań i zarzutów napisał Sienkiewicz obszerną powieść, którą, w przeciwstawieniu do poprzednich, zatłoczonych wypadkami, wypełnił mgłami rozmyślań. Jeżeli tamte miały za dużo treści, ta jej nie ma prawie wcale. W trzy tomy bowiem, jak w trzy wielkie kłębki zwinięte są ciągle, rwane i plątane nici oprzędu serca Płoszowskiego, który z początku o wszystkiem wątpił i niczego nie chciał, potem rozkochał się bezpamiętnie w cudzej żonie, przedtem mu znanej jako panna, i pragnął ją poślubić, wreszcie po jej śmierci zabił się. Niewątpliwie powieść ta składa świadectwo o lepszem wtajemniczeniu się autora w zagadnienia psychologiczne i o chęci dopełnienia swego wieńca liściem wawrzynu z tej dziedziny; nie zasłania on jednak całkowicie słabej strony jego talentu, a po części ją stwierdza nowym dowodem. Bo jeżeli w Płoszowskim nie tkwi kilku ludzi, to co najmniej dwu. W pierwszym tomie jest to postać widocznie urobiona z uwag i przykładów dziełka Ribota *Choroby woli*. „Chorzy — czytamy w tem dziełku — mogą chcieć tylko wewnętrznie, umysłowo, według wymagań rozsądku, mogą doświadczać pragnienia jakiejś działalności, lecz niezdolni są postępować odpowiednio. W głębi ich umysłu jest jakaś niemoc. Chcieliby pracować, lecz nie mogą. Wola ich niezdolna jest przekroczyć pewnych granic; rzekłbyś, że ta siła czynna podległa otamowaniu; ich *chcę* nie przeobraża się w wolę pobudzającą, w postanowienie czynne. Dziwią się sami niemocy, jaką rażona jest ich wola“ *). Ribot przytacza za Esquirolem następującą odmianę tej choroby: „Urzędnik pewien, odznaczający się wysoką wiedzą i potęgą słowa, pod wpływem zgryzot uległ monomanii. Zachował on całą przytomność umysłu, nie chce jednak nigdzie wychodzić, jakkolwiek uznaje, iż nie ma słuszności. Nie chce doglądać swych interesów, choć wie, że cierpią na tem; mowa jego jest o tyle rozsądna, o ile dowcipna. Gdy mu się zrobi wzmiankę o podróży, kiedy się go zachęca do pilnowania interesów, odpowiada: „Wiem, że powinienbym to robić i że nie mogę; rady pańskie są bardzo dobre, chciałbym pójść za jego zdaniem, jestem zupełnie przeświadczony o słuszności, lecz zrób pan tak, abym mógł chcieć, abym posiadał tę wolę, która postanawia i wykonywa. Pewnem jest — mówił dnia jednego — iż posiadam wolę na to tylko, aby nie chcieć, gdyż zachowałem cały swój rozsądek, wiem, co robić należy, lecz siła opuszcza mnie w chwili, kiedy mam działać.“ Niektóre rysy tego wizerunku odbijają się wiernie w charakterze Płoszowskiego. Sienkiewicz niewątpliwie znał pracę Ribota (wspomina o niej w powieści) i prawdopodobnie przy czytaniu objawił mu się we mgle jego bohater; lecz autor „Bez dogmatu,“ dogadzając naturze swego talentu, opornej wszelkim ścisłościom psychologicznym, dopełnił tę postać znamionami „obłędu wątpiącego“, i skłonnością do „przeżuwania myśli,“ przeprowadził ją z ciasnej dziedziny chorób na szeroką widownię zjawisk społecznych i kazał maniakowi być typem współczesnego pokolenia, przedstawicielem „legionu,“ cierpiącym nie przez zwyrodnienie i osłabienie odziedziczone lub w nadużyciach nabyte, lecz przez *l'improductivite slave* oraz ubezwładniające wpływy czasu i otoczenia. Słowem pacyent, dość rzadki okaz, zamienił się pod jego piórem na dziecię wieku, na człowieka rodzajowego. Przy chrzcie tego dziecka zamiast psychiatrów świadkami byli Hamlet i Faust. W „przeżuwaniu“ swych myśli Płoszowski gryzie ciągle zagadkę: „być lub nie być,“ a jednocześnie o wszystkiem wątpi. Nie wyznaje on wprawdzie, jak bohater Goethego, że przestudyował wszystkie nauki, bo lizał je tylko dorywczo, ale drwi z całej wiedzy, uważa ją za dziurawy dach, który nie daje żadnej osłony. „Łatwo mi będzie — powiada — określić stan mego umysłu. Oto, nie wiem, nie wiem, nie wiem!“ „Męczy on się i szaleje w tej ciemności... W tej zeznanej (ma być „uświadomionej“) impotencyi ludzkiego rozumu leży tragedya.“ Widzimy w Płoszowskim niewiadomość, widzimy wątpienie — *la folie du doute*, widzimy niemoc, ale nie widzimy „tragedyi rozumu ludzkiego.“ Bogaty, bardziej znudzony i rozkapryszony pan, niż rozczarowany filozof, bierze w dwa delikatne palce kulę ziemską wraz z osiadłym na niej rojem robaków, wydziwia ją, wyszydza, wreszcie rzuca z pogardą jak zgniłe jabłko. Lekceważącem dmuchnięciem rozprasza niby garść kurzu całą mądrość ludzką, podnosi jej płaszcz królewski i pokazuje pod nim łachmany, z góry lub przez ramię spogląda na karłów, uwijających się w ciężkiej pracy, od czasu do czasu podcina szpicrutą jakąś gromadkę zuchwalców, którzy zbyt głośno rozprawiają o swych celach i zasługach, nie dostrzega ani w ludzkości, ani w społeczeństwie zdrowego nasienia, a w nauce i w życiu trwałego punktu oparcia dla przyszłości. Jest człowiekiem „bez dogmatu,“ a stał się takim z urodzenia i wychowania, nie zaś po długiej pracy wewnętrznej. Arystokrata obrosły dostatkiem, dziedzic wielkiej fortuny, wypieszczony przez dolę i ludzi, dyletant bez gruntownego ukształcenia, znający nauki tak, jak spotykane w salonach kobiety, z którymi nieraz tylko parę słów zamienił, wyrobił w sobie wielkopańską, lekceważącą „ludzi i rzeczy sofistykę, która wszystko niweje i sama przyznając się do nieświadomości, z tego punktu szyderczym uśmiechem zatacza koło głupoty ludzi po całym obrębie ich życia i wiedzy.

W duszy Płoszowskiego wszystkie prawdy powiędły, a uczucia — z wyjątkiem miłości dla ojca—nie rozwinęły się. Czuje on pustkę duchową, w której jak strachy błąkają się dręczące wątpienia. Co zrobił Goethe dla wyleczenia z tej choroby Fausta i powstrzymania go od samobójstwa? Podsunął mu Małgosię. Taką Małgosią jest dla Płoszowskiego Anielka, skromna, czuła, zakochana, umysłowo bardziej z przepiórką, niż z orlicą spokrewniona. Zdawałoby się, że wystudzony, sparaliżowany sercem sceptyk, który niczego nie chce i w nic nie wierzy, nie rozgorzeje do tej panienki płomienną miłością. Istotnie, z początku traktuje on ją dość ozięble, a wyjechawszy do Włoch, do chorego ojca, daje jej z Rzymu za pośrednictwem ciotki ironiczną dyspensę na małżeństwo z konkurentem wątpliwej wartości. Po śmierci ojca, zapomniawszy prawie zupełnie o Anielce; koi swą zbolałą duszę zmysłowym stosunkiem z pewną żoną niedołężnego męża, z którym przebywa pod jednym dachem, jako bok romansowego trójkąta. Z trójkąta tego wreszcie usuwa się, ustępując miejsca innemu. Pod wpływem dość dziwnego odradzania się wspomnień, zaczyna znowu występować w jego pamięci przesłonięty mgłą obraz Anielki. „Przeżuwając“—jakby rzekł Ribot — swoje uczucia, Płoszowski ulega tak gwałtownemu pragnieniu zdobycia tej, którą odtrącił, że pośpiesznie wraca z Włoch, ażeby nie dopuścić jej związku z narzeczonym. Ona jednak nie ulega jego prośbom i poślubia Kromickiego.

Odtąd Płoszowski przedzierga się w inną postać, tak odmienną od poprzedniej, jak mądry, waleczny i szanowany Zagłoba od Zagłoby błazna i ośmieszonego tchórza. Człowiek, który niczego nie chciał, teraz pożerany jest nienasyconą chęcią; on, który z wyniosłym grymasem oddał innemu kobietę, teraz ją nazywa „swoją,“ jedyną, ukochaną wszystkiemi zmysłami i duchem. Nie ma ofiary, której by nie poniósł dla odzyskania jej. Jeździ za nią, pieści ją, ubóstwia, pożąda, łaknie, jak potępieniec piekła łaski nieba. Z niej, jej męża i siebie wytwarza znowu, tylko o idealniejszych liniach trójkąt miłości. Anielka broniła się jego wyznaniom, ukrywszy swą wzajemność na dnie serca. Ale nareszcie stało się to, co w zwykłym biegu rzeczy staje się koniecznie: żona miała zostać matką. Odkrycie to druzgocze Płoszowskiego, który ucieka z Wiednia do Berlina, tam niebezpiecznie choruje, pielęgnowany przez zakochaną w nim artystkę niemiecką, a wyzdrowiawszy, wraca do Warszawy, dokąd nadchodzi wiadomość o śmierci męża Anielki i gdzie ona przy przedwczesnym porodzie umiera. Płoszowski idzie za nią dobrowolnie w krainę śmierci.

Jest że to typ uogólniony w wysokiej potędze, przedstawiciel swojej rasy, swojego pokolenia — „legionu“? Jest że to Faust, Hamlet, słowianin, polak, lub bohater naszych czasów? Pytania takie mogą to tylko ośmieszyć. Jest on bowiem mieszaniną wielu pierwiastków. Rozłożony na części składowe przedstawia kawałki człowieka z bezwładem woli, sofistę ze zręcznością niwecznia wiedzy, sceptyka obojętnego na wszystko, pana zdenerwowanego w bezczynności a niezdolnego do żadnej pracy, zimnego szydercę i gorejącego kochanka, a w znacznej mierze rozkapryszonego dzieciaka, opłakującego nieurzeczywistnione pragnienia, których albo nie miał, albo bez powodu nie spełnił. Kiedy Anielka nosiła za nim swoje serce — to ją odpędzał; kiedy odeszła—to dowodził, że była „jego kobietą,“ przez naturę umyślnie dlań stworzoną; kiedy poślubiła innego, niekochanego, nie probował jej rozwieść, chociaż mu nic nie

*) Przekład polski, str. 38.

przeszkadzało, prócz łatwych do pokonania jej skrupułów. Nakoniec, kiedy już straciła męża, autor kazał jej umrzeć. Słowem, ta para kochanków ciągle odbywa dziwne ruchy: idą ku sobie, mijają się, zawracają, znowu idą ku sobie, znowu mijają się itd. Ostatnia też powieść Sienkiewicza nie jest „tragedyą rozumu ludzkiego," ale tragedyą miłości w wstecznie rozwiniętym wątku nieszczęść.

Ponieważ autor napisał ją w formie pamiętnika, więc o ile dusza bohatera głównego stoi ciągle otworem, o tyle inne są zamknięte lub zaledwie uchylone. Czytelnik przebywa długą drogę brzegiem wązkiego i leniwie płynącego potoku rozmyślań, uwag, spostrzeżeń, paradoksów, wywodów, miejscami głębokich, miejscami płytkich, świecących odblaskami słońca lub ciemnych, przejrzystych lub mętnych. Podróż ta, mało urozmaicona w widokach, nuży. Tu i owdzie ślicznie nakreślony obraz, barwny kwiat uczucia albo rzucony klejnot myśli zajmie, wzbudzi podziw, olśni i wzruszy, ale całość jest w wysokim stopniu męcząca, chociaż właściwy Sienkiewiczowi styl naturalnej i niedbałej gawędy nie zmusza myśli do ciężkiej pracy. Wielki talent odciska ślady swej siły nawet na utworach słabszych; więc i „Bez dogmatu" posiada tych znamion bardzo wiele. Powieść ta jednak nie przedstawiła nam ani potężnych charakterów, ani wyniku głębokiej psychologii życia. Jest to garść brylantów w górze piasku i rud wszelakich.

A. H.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Uroczystości bałwochwalcze.

Po tylokrotnych a wymownych syknięciach przeciwko bezmyślnym i gorszącym wybuchom bałwochwalstwa dla rozmaitych artystów wogóle, a dla pani Modrzejewskiej w szczególności, zdawało się, że podczas obecnych jej odwiedzin Warszawa nie zgłupieje, nie rzuci się w taniec derwiszowy. Nadzieja ta zawiodła. Wprawdzie nie powtórzono błędów poprzednich, ale czytaliśmy u spodu wystawionych na widok publiczny portretów i w artykułach dzienników, że jest to „nasza chwała," dowiadywaliśmy się z pism o każdem jej nowem odzieniu, licytowaliśmy bilety na jej występy do cen, wyrównywających kosztom powrotu jednego biedaka z Brazylii, rzucaliśmy pieniędzmi jak Rotschildowie, wydaliśmy lub wydamy na widowiska i prezenty kilkadziesiąt tysięcy rubli, a Warszawa — jak mówi *Kuryer świąteczny* — zamieniła się na jedną wielką kadzielnicę, z której dymy potężnym obłokiem otoczyły „naszą chwałę." Sprawozdawcy teatralni zrzekli się krytyki jej gry; tylko po każdym występie zapalone pióra przykładali jak lonty do armat dziennikarskich, które grzmiały salwami. Jeżeli na Marsie są ludzie, to zapewno słyszą zdumieni odgłosy jakiejś nadzwyczajnej wrzawy i myślą zapewne, że na ziemi zjawił się nowy cud świata, ani się domyślając, że to tylko dobrze nam znajoma pani Modrzejewska występuje na scenie warszawskiej. Wieść, która ma więcej znamion plotki, niż prawdy, twierdzi, że nawet studenci, uniesieni zapałem dla „naszej chwały," kupując bilety na jej benefis, dopłacali naddatki. Byli to chyba paniczykowie, którzy nie uczęszczają do tanich kuchen i nie utrzymują się z lekcyi. Gdyby jeszcze studencka bieda składała ofiary na tym ołtarzu, to już w czasie nowego potopu trudno byłoby znaleźć między nami kandydatów do arki dla przechowania rozumu. Tak źle nie jest. Z zupełną natomiast pewnością wiadomo, że po kilkadziesiąt rubli za miejsce w teatrze płacili ludzie, którzy nie daliby rubla, gdyby połowa Warszawy umierała z głodu. W jej łonie bije mnóstwo takich serc skamieniałych wobec nędzy, a miękkich wobec artystycznej pompy. Naturalnie cały ten bezmiar głupoty, całe to morze panegirycznego atramentu, cała ta chmura bałwochwalczych kadzideł nie zasłania nam istotnie wielkiego talentu artystki, która swoje role odgrywa pięknie, a za pomór rozumów nie jest odpowiedzialna. Bo gdyby nawet dziwiła się, że zachwycone nią gwiazdy nie spadają na jej szaty dla ozdobienia ich swymi blaskami, musielibyśmy usprawiedliwić odurzoną tymi narkotykami pochlebstwa. Pytyi zdawało się, że widzi przyszłość, siedząc nad krawędzią pieczary, ziejącej dusznemi oparami, a cóż dopiero myśleć może artystka, oddychająca dymami takiej czci! Jeżeli p. Modrzejewska po przeczytaniu wszystkich o niej artykułów i wzmianek uważa nas za ludzi lub sądzi, że my coś przy niej znaczymy, to doprawdy jest zdumiewająco skromna. *O.*

Zgodny fabrykant.

Ponieważ prawdopodobnie niedługo ujrzymy na scenie naszej *Thermidora*, nową „sztukę" Sardou, głównego dostawcy magazynu Melpomeny warszawskiej, więc warto zaznaczyć, jaki ten fabrykant jest nieuparty i skłonny do ustępstw. Tę jego „sztukę" po pierwszem przedstawieniu wygwizdano za to, że w złem świetle przedstawiła Rewolucyę, a zwłaszcza Robespierre'a. Otóż poczciwy p. Sardou oświadczył: niepodoba wam się *Thermidor* w tej postaci, mogę mu nadać całkiem inną. I przerobił swój produkt tak, że Rewolucya ma „tyrady patryotyczne," a Robespierre — lekki nimbusik. To się nazywa „twórczością artystyczną," wylewem „natchnienia," „kapłaństwem w świątyni sztuki," nad tem pisze się studya z odgadywaniem myśli autora. Czyby jednak nie można uprościć sobie pojmowania rzeczy i uznać, że *Thermidory* i wogóle wyroby Sardou lub jemu podobnych są takimi samymi fabrykatami, jak guziki, grzebienie, korty i perkale? Po co nimi zawalać ciasną dziedzinę sztuki, kiedy one wybornie pomieścić się mogą w obszernych składach przemysłu? Zadajemy sobie zbyteczną subjekcyę i sprawiamy niepotrzebny zamęt w pojęciach. Wyznawcy Marxa mają pewien kłopot z uporządkowaniem w swej teoryi i ustroju społecznym pracy umysłowej; byliby oni nam bardzo wdzięczni, gdybyśmy pracę tę bodaj częściowo równouprawnili z fizyczną. Pozostałyby im tylko płody niewielu geniuszów i myślicieli, z którymi sprawa łatwiejsza; Sardou zaś wraz z całą gromadą fabrykantów teatralnych stanąłby w rzędzie przemysłowców, a pracę jego możnaby wynagrodzić według zużytego na nią czasu — jak przy szyciu butów lub sukien. *Z.*

Ksawery Liske.

We Lwowie zmarł profesor tamtejszego uniwersytetu, wielce zasłużony nauce badaniami drobiazgowemi oraz wydawnictwem „Akt grodzkich i ziemskich." Nie był to znakomity historyozof, ale pracowity i sumienny poszukiwacz archiwalny, którego umysł zamykał się w zagadnieniach szczegółowych, w drobiazgach i obrabianiu materyału naukowego. Życie wszakże obarczyło Liskego nietylko pracą, ale i cięższem od niej cierpieniem, o którem wspomnieć należy. Przez lat kilka — jeśli nas pamięć nie myli — dziesięć nie wstawał on z łóżka, na które powaliła go nieuleczalna choroba. W tym stanie, częściowo sparaliżowany a jednocześnie dokuczliwymi bólami trapiony, prowadził ciągle badania historyczne i wykładał lekcye studentom, którzy zbierali się u niego w domu. Był to żywot prawdziwie męczeński. Za wiele nieszczęścia dla człowieka sama tak straszna choroba, a cóż jest nieustanna w cierpieniach i niemocy praca umysłowa, którą ciągle mącą, targają i utrudniają dolegliwości fizyczne. Niewątpliwie pewną przyjemność sprawiały Liskemu wykłady, ale tyle go kosztowały wysiłku, że zrzekłby się ich, gdyby mu na to pozwoliły środki materyalne. Profesor austryacki nie zbiera majątku. Niech ci, którzy w spokoju i dobrobycie mogą oddawać się swym studyom, pomyślą, jak lekką i rozkoszną jest ich dola w porównaniu z niedolą tego łazarza. *S.*

Paserstwo niemoralności.

Każde społeczeństwo posiada t. zw. „paserów," kupujących od złodziejów rzeczy kradzione, ale chyba żadne nie ma tylu paserów, ukrywających sprawki niemoralne. Skoro tylko jakiś oszust, krzywdziciel, wyzyskiwacz, sprzeniewierca przyczepi się do jakiegoś stanowiska publicznego, może broić bezkarnie, bo zawsze znajdzie konfesyonał „obywatelski," który go po cichu rozgrzeszy w imię „dobra ogólnego," „przyzwoitości," „potrzeby okrywania własnej nagości przed światem" itp. Opinia publiczna roznosi ciągle takie odpusty i wyroki uniewinniające, zamykając usta śmiałkom, którzyby chcieli zdradzić tajemnicę nieprawości. Urządziła ona rodzaj krytej kanalizacyi w społeczeństwie, zapomocą której nie odprowadza nigdzie zgnilizny i brudów, lecz ją gromadzi w jego łonie. Pst! pst! — oto najczęściej powtarzane hasło naszego sumienia. Aby zło ukryć — na tem polega „obowiązek obywatelski."

W ostatnim numerze *Kroniki rodzinnej* znajdujemy wzmiankę o „oburzającym postępku jednego z lekarzy warszawskich, który... zasiadał jako niby delegowany przez Radę lekarską czy też uniwersytet na konsultacyach znachorki od raka." Będzie za to „należycie ukaranym," gdyż „grono kolegów, grupujących się około jednej z tutejszych lecznic, do której i ów „konsultant" należy, ma zamiar go z niej wykluczyć i zerwać z nim stosunki." A jakże on się nazywa? To tajemnica naszego paserstwa i kanalizacyi moralnej. Nie wiemy, czy ten pan uczestniczył w naradach ze znachorką w sfałszowanej roli delegata, nie znamy stopnia jego winy, ale jeżeli on rzeczywiście dopuścił się „oburzającego postępku," jeżeli zasłużył na wzgardę i potępienie, to zdaje nam się, że sprawa nie powinna być załatwiona jedynie między „kolegami." Gdyby lekarze stanowili klub prywatny, dający im rozrywki i zamknięty dla ogółu, nie mielibyśmy prawa wtrącać się w ich stosunki i sprawy. Ale oni stanowią oddział ludzi spełniających służbę publiczną, która ogarnia bardzo ważne interesy społeczeństwa, więc chyba ono powinno wiedzieć, kogo ma się strzedz i komu nie ufać. Tymczasem jego koledzy mówią: jest między nami taki, który popełnia „oburzające postępki" i którego my wyłączamy z naszego grona, ale wy, publiczność, chorzy wpadajcie sobie w sieć pająka. Szanowni panowie, albo nie rzucajcie klątwy, albo rzucajcie ją imiennie, bo my podejmiemy kamień, który ciśnęliście na swego winnego towarzysza i ciśniemy na was za ukrycie go między sobą. *M.*

Rozkład ofiarności.

Konserwatystom, a zwłaszcza klerykałom przyznać trzeba, że oni nieraz zawstydzają bogatych liberałów swą ofiarnością na cele i sprawy ogólne, w których wartość i użyteczność wierzą. Bo co np. przeciwstawić można corocznie zbieranemu we wszystkich krajach katolickich świętopietrzu, dosięgającemu sum olbrzymich? Co przeciwstawić można wyposażaniu kościołów, zasilaniu instytucyj z charakterem religijnym, zabiegom około umocnienia gruntu i wpływu propagandy? Ultramontanie lub spokrewnieni z nimi zachowawcy nie żałują dla wspólnego dobra pieniędzy, nie żałują starań, nie żałują pomocy i opieki najskromniejszemu zapaśnikowi swego obozu. Przy ich progu rzadko z głodu umiera, kto do nich należy. Tu rzeczywiście „ręka rękę

myje, noga nogę wspiera.“ Nawet odrzucając lub nieraz potępiając cele tej solidarności, musimy pochwalić jej węzły i sposoby utrzymywania spójni. Wprawdzie ci ludzie, gardzący dobrami doczesnemi, śpią, siedzą i klęczą na tych dobrach, więc im łatwiej odsypywać czuby z przepełnionych worków; wprawdzie dusze zachowawcze zwykle tkwią w tłustych ciałach landlordów, a wolnomyślne — w chudych ciałach dzierżawców tego świata, ale nawet w stosunku procentowym do zamożności pierwsi rozumieją lepiej korzyść zjednoczenia, poświęceń i dbałości o interesy swej gromady. Wymowny przykład znajdujemy w naszem społeczeństwie. Od lat kilku z ofiar prywatnych wzniesiono lub przerobiono w Warszawie i jej przyległościach szereg kościołów setkami tysięcy rubli. Zbudowano: kościół Wszystkich Świętych, na Koszykach (wraz ze wspaniałą kaplicą), na Pradze i w Brudnie; znacznie rozszerzono kościół św. Aleksandra, odrestaurowano spalony kościół św. Marcina; odnowiono: św. Karola Boromeusza, bernardyński, dominikański, św. Krzyża, P. Maryi. Niedawno jeden ze zmarłych obywateli miejskich przeznaczył swą posiadłość między ulicą Dzielną i Nowolipkami dla nowego kościoła, a natychmiast Aleksandra hr. Potocka ofiarowała 300,000 rs. na koszta budowy. Cóż z tą hojnością i z tym rzędem kościołów zmierzyć się może ze strony świeckiej, nieobjętej kołem konserwatyzmu klerykalnego? Kilka zapisów Kasie Mianowskiego i 20,000 rs. p. H. Wawelberga na Muzeum rzemieślnicze. Ogromna różnica, której wcale nie łagodzą ofiary, ponoszone na występy p. Modrzejewskiej. *K.*

Towarzystwo wioślarskie.

Po wielu burzach i zmianach załogi łódź tej instytucyi z nowymi sternikami płynie biegiem spokojnym. Towarzystwo wioślarskie urodziło się pod szczęśliwą gwiazdą, która mu nie przestaje świecić. Liczy członków 900 (przeważnie ze sfery kupiecko-przemysłowej), którzy, jak widać ze Sprawozdania, nie spieszą się z wnoszeniem składek (za kwartał III zalega 264, za IV—520!), ale nie trzeba zapominać, że wyjąwszy karnawał zasypia ono na zimę. Z wiosną budzi się do życia i wtedy otwierają się jego pączki — bez przenośni — kieszenie, które niedobór zapełnią. Majątkowo stoi dobrze (miało przewyżki dochodów nad wydatkami 3,128 rs.), a że bawić się umie, świadczą ciągłe biuletyny o jego rozrywkach w prasie codziennej.

Towarzystwo ogrodnicze.

Należy ono do najpożyteczniejszych u nas instytucyj, posiada bowiem w swem łonie znaczny procent żywiołów naukowych i wywiera nieoceniony wpływ na rozwój naszego ogrodownictwa. Odbywane w niem pogadanki uczą wiele, a rozchodzące się pobudki zachęcają do pracy i przedsięwzięć, do których należy przyszłość. W kraju, który posiada tyle warunków pomyślnych dla uprawy kwiatów, warzyw i owoców, a tak jest biedny, że pomarańcza włoska pokonywa ceną na jego rynkach jabłko lub gruszka, Towarzystwo ogrodnicze ma przed sobą zadanie wielkie i wdzięczne. Rozwija się ono bez skoków naprzód, ale i bez skoków wstecz; posiada ładne muzeum, umiejętnie redagowany organ i liczy 474 członków, którzy o tyle sumiennie płacą składki, że w roku ubiegłym (według świeżo wydanego rocznika) z ogólnych dochodów otrzymano 591 rs. przewyżki nad wydatkami.

NA WIDNOKRĘGU.

Przyczynek *Gazety lubelskiej* do sprawy najemnictwa wiejskiego. — Samoapoteoza ziemiańska. — Pierwsze zwiastuny. — Ożywienie w przemyśle.

Jak drobne są fale naszego życia społecznego, tak mikroskopowe usiłowania w badaniu objawów tego życia — tak skromne wyniki tych usiłowań. Jak na każdem innem polu, podobnie i w zakresie dociekań statystycznych — zadawalać się musimy próbami jednostkowemi. Zamiast dużego zwierciadła, w któremby całkowity obraz danych stosunków znalazł swoje dokładne odbicie, mamy tysiące zwierciadełek podręcznych, zmatowanych tchnieniem pobożnych życzeń lub moralizatorstwa, zabarwionego dążnościami pewnych grup społecznych. W stanowczych chwilach, kiedy potrzebujemy przyjrzeć się zbiorowej fizyognomii, wydobywamy z kieszeni te „obrazojemne“ tabelki i stawiamy je przed rzeczywistością. Lecz zamiast całego obrazu, otrzymujemy jego składowe części. Gdybyśmy z tych ostatnich chcieli odtworzyć pierwszy, przypomniałby on nam twarz odbitą w zwierciedle stłuczonem.

Takie porównanie nasuwają mi próby „zbadania“ przez statystyków domorosłych — kwestyi robotniczej na wsi, kwestyi, która póty była szydłem, niezdradzającem swej obecności w worku, póki nim nie wstrząsnęła emigracya brazylijska. Statystyka umiejętna starałaby się wszechstronnie wyjaśnić, skąd wzięło się w worku (gospodarstwie folwarcznem) owo szydło i czemu z niego wyłazi; statystyka domorosła usiłuje również rozgmatwać te pytania, ale robi to jednostronnie: podstawia swoje zwierciadełko w ten sposób, że w niem części odbija się nos ziemianina, niż spracowane ręce rataja — zgarbione ciężarem długów lichwiarskich i rat Towarzystwa plecy szlachcica, niż pusty brzuch najemnika.

Niejakie odstępstwo od tego zwyczaju zrobił p. Rola w *Gazecie lubelskiej* w odpowiedzi na jej kwestyonaryusz w sprawie „ceny robotnika“ w Lubelskiem. Dane, które ten ziemianin zebrał, dotyczą północnej części powiatu nowo-aleksandryjskiego (puławskiego). Ileż robotnik wiejski w tej okolicy zarabia w zimie, wiosną, latem, w jesieni. W polu wiosną jeden dzień męzki — 25 kop., kobiecy — 15 k.; latem męzki — 30 k., kobiecy — 20—30 k.; jesienią męzki 30 k., kobiecy — 20 k.; zimą męzki 20 k., kobiecy — 15 k. Przy robotach przemysłowych (grabarka, brukówka, w lasach) 1 dzień męzki wynosi 60 kop. do 1 rubla i dzień pomocy 5 do 10 kop. drożej, niż przy robotach polowych. To są sezonowe ceny najemnika przychodniego. Co do czeladzi dworskiej, to parobek do wołów (rataj) lub fornal do koni pobierają rocznej zasługi 21 rubli, ordynaryi 12 korcy ziarna twardego, 100 prętów pola pod kartofle, 10 pod kapustę i 10 pod len oraz konopie, dalej drzewo na opał, krowę na oborze i odpadki (plewy) w miarę potrzeby. „Co zliczywszy na gotówkę — powiada ziemianin—przenosi 100 rubli, za to najwyżej jest czynny w roku 300 dni, jeżeli nie choruje i nie wyprasza się na jarmarki, odpusty i wesela, a zatem jeden dzień parobka kosztuje dwór od 33 do 40 kop. Robotnik ten przy obecnych naszych stosunkach niezmiernie drogi; klasa ta jest najszczęśliwszą, nie myśli o niczem, a utrzymanie ma zupełne, bo dochód jej zwiększa: żona jego i dzieci płatni jak zwykli robotnicy.“ Nawet służba kobieca nie jest tania, bo dziewka do robót polnych pobiera rocznie 21 rs. i utrzymanie — nawet podrostek pastuszek nie tani: ma rocznie 20 rs. wraz z utrzymaniem! „Służba więc w gospodarstwach rolnych — wnioskuje szan. ziemianin — jest to *malum necessarium*, zjada obecnie wraz z najmem wszystko, co ziemia daje, po odtrąceniu podatków i innych koniecznych wydatków, a zmniejszenie liczby jej i wynagrodzenia tejże niemożliwe, w pierwszym razie, że jest potrzebną, w drugim, że nie utrzyma się. Cóż więc rolnikowi wypada robić? Pracować na służbę, najem i inne ciężary, a o utrzymaniu swojem myśleć i z innych źródeł?“

Ten tragiczny wniosek domorosłego statystyka, zdaniem mojem, jest przedwczesny. Zwierciadło, w którem p. Rola każe folwarkom swojej okolicy się przeglądać, jestułudne: twarz parobka odbiła się w niem zbyt pucołowato i promienieje szczęściem, gdy tymczasem oblicze ziemiańskie zbyt się wydłużyło i nosi na czole wyraźne ślady nimbu męczeńskiego. Rzeczywistość, gdyby ją umiejętnie a rzetelnie spytano, odpowiedziałaby na to przecząco. Bez wątpienia rolnictwo nasze przebywa obecnie ciężki okres przystosowywania się do zmienionych warunków rynku i niejeden kapitalista-ziemianin jest w przededniu bankructwa; ale nie ma żadnej dobrej racyi twierdzić, że się jest bardziej ludzkim, niż tego wymagają warunki materyalne. Interes własny z trudnością ustępuje etyce, i jeśli by prawdą być miało, że, pomimo ciężkich czasów dla ziemian w ogóle, a więc i dla nowoaleksandryjskich w szczególności, ich czeladź folwarczna „jest najszczęśliwszą,“ że „nie myśli o niczem“ (nie wątpię), że, słowem, ziemianin jest wspaniałomyślny i hojny dla niej, to z pewnością zmuszałby go być takim jakiś miecz Damoklesa, jakaś konieczność zewnętrzna, zmora... Ale w gruncie rzeczy jest to przesada, jeśli nawet nie obłuda. Sprawa robotników wiejskich u nas, ich stopa zarobkowa, długość dnia roboczego, wartość pożywna ordynaryi itp. — mało jeszcze jest zbadana przez umiejętną statystykę; sądząc jednak z cyfr zebranych przez p. Zdziarskiego z gubernii płockiej *), wywody p. Roli bardzo ostrożnie należy przyjmować. Niedobór roczny parobka w Płockiem wynosi 35 rs. 75 k. Jest to cyfra otrzymana z wszechstronnego obliczenia tak zarobku całej rodziny parobka, jak i wartości pożywnej ordynaryi, wyznaczonej mu przez dziedzica. Radzę więc p. R. zajrzeć wprzód do książki p. Zdziarskiego, nauczyć się z niej obliczania realnej płacy najemnika i następnie owe 100 rs. czeladzi w jego stronach — poddać ściślejszej analizie.

Pierwsze zwiastuny budzącego się ruchu wychodźczego już występują na jaw. W Łęczyckiem w niektórych dominiach większa część czeladzi folwarcznej opuściła służbę, a nowi zastępcy się nie zgłosili. Pewien ziemianin ośmiowłókowy rad nie rad obywać się musi jednym parobkiem i pastuchem. Po Łęczycy wałęsają się różnego wieku i różnej zamożności włościanie, którzy oświadczają, że oczekują tylko wiosny, żeby wyruszyć do Brazylii. Nawet Radomskie, które w zeszłym roku nie brało udziału w ruchu wychodźczym — drgnęło. Śród robotników z warsztatów kolejowych w Radomiu panuje wrzenie. Przy każdej dwutygodniowej wypłacie, kilku, a nawet kilkunastu robotników, zamyka swoje rachunki warsztatowe i wyprzedaje ruchomości. To samo dzieje się po wsiach. „W pewnym majątku — powiada *Gazeta warszawska* — aby skutecznie oddziałać na włościan i parobków, systematycznie w dni niedzielne były czytywane dla miejscowej ludności korespondencye p. Dygasińskiego i w rezultacie kilku parobków i jeden, mający się nawet względnie dobrze gospodarz stanowczo objawił w kółku zaufanem, że... „jak tylko święta Wielkanocne miną, oni się w drogę wybiorą.“ Gazeta, a raczej jej korespondent, niezrażony tym skutkiem, sądzi, że większe będzie miał powodzenie prelegent, któryby kraj cały objeżdżał i drogą legalną podawał do wiadomości zgubne skutki emigracyi do Brazylii.“

Zastój, który jak zmora dusił przemysł łódzki, zaczyna przemijać. W przemyśle wełnianym panuje ożywienie. Towary wełniane letnie odchodzą w znacznych partyach. To, że powstawać zaczynają nowe fabryki w Łodzi, jest wymowną wskazówką ustępowania nadprodukcyi.

Z. Atanazy.

*) Patrz: Bolesław Zdziarski. *O najwłaściwszych sposobach wynagradzania robotników wiejskich i oficyalistów*, r. 1889.

KRONIKA.

Wychodźctwo. W sądzie radomskim odbędzie się wkrótce sprawa przeciwko pięciu agentom, którzy werbowali wychodźców w pow. opoczyńskim i koneckim.

— W gub. radomskiej pow. koneckim, opoczyńskim, radomskim i kozienickim lud się przygotowuje do emigracyi.

— W Aleksandrowie prawie codzień władze zatrzymują ludzi, usiłujących się przedrzeć przez granicę w celu wychodźctwa do Brazylii.

— Z Brodnicy donoszą, iż emigranci z Królestwa przechodząc granicę, muszą się poddać nadzorowi policyjnemu na podstawie rozporządzenia wyższych władz pruskich. Dn. 26 z. m. zatrzymano 30 osób na dworcu tamtejszym i odprowadzono do biura policyjnego, gdzie się okazało, że większa część, nie posiada ani pieniędzy na drogę, ani potrzebnych papierów legitymacyjnych. Z tego powodu odstawiono wychodźców napowrót do granicy.

— W Piotrkowie sąd skazał niejakiego Kunta, podżegacza emigracyjnego, na 4 miesiące więzienia z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów.

— Z Krakowa donoszą, iż władze policyjne ciągle zatrzymują gromady włościan, wybierających się do Brazylii. Galicya straciła bardzo wiele ludu wiejskiego przez tłumną emigracyę; dotąd jednak nic nie zrobiła w celu zapobieżenia temu.

Sprawy społeczne. W sprawie pracy robotników wkrótce wprowadzone będą obowiązkowe przepisy w zakresie roboty nocnej. Robotników, zajętych w fabrykach i warsztatach w ciągu dnia, nie wolno będzie używać do pracy nocnej. Wogóle zaś pracę nocną mogą się zajmować tylko ci, których silny organizm będzie przez lekarzy sprawdzony.

— Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu starało się niedawno u rządu o obronę włościan przed nadużyciami lichwiarzy. Obecnie minister spraw wewnętrznych wniósł przedstawienie środków zaradczych, między innemi określone są surowe kary na osoby, które utrzymują szynki i jednocześnie przyjmują zastawy, oraz wydają na zastaw pożyczki ludziom pijanym, małoletnim, pozostającym pod opieką itd.

— Policya Rzeszowa w Galicyi wykryła handel dziewczętami, rozwinięty na wielką skalę. W Przemyślu aresztowano kilku handlarzy.

Szkoły. Staraniem Tow. osad rolnych powstaje na folwarku Brzozowa w dobrach Sobieszyn niższa szkoła rolnicza z funduszu hr. Kickiego. Ministeryum oświaty ustawę już zatwierdziło z warunkiem pewnych zmian.

— P. Aleksandra Kobylińska otrzymała koncensye na otworzenie w Warszawie instytutu hygieniczno-gimnastycznego dla kobiet wszelkiego wieku i dzieci obojga płci.

— Z powodu niedogodności egzaminów jesiennych w komisyach egzaminacyjnych, uznano za konieczne odbywanie tej czynności w komisyach: historyczno-filologicznej, fizyczno-matematycznej i prawnej w maju. W tym roku wyjątek będzie zrobiony tylko dla kończących kurs na wydziale prawnym.

— W galicyjskich seminaryach nauczycielskich zaprowadzono naukę hygieny.

Sprawy kolejowe. Główne towarzystwo kolei ruskich na wszystkich liniach postanawia urządzić nowe zakłady dla nasycania podkładów płynem, zabezpieczającym drzewo od gnicia. Zakłady będą ruchome.

Wypadki. Z Paryża donoszą, iż w kopalniach Jeanville nastąpił wybuch jeszcze 4 lutego. Po dwudziestu dniach wydobyto z głębi czterech ludzi żywych. Wypili oni olej i lizali wilgoć ścian. Jeden z nich nazywa się Matuszkiewicz.

Zmarli. Feliks Rakowski, dyrektor Banku przemysłowców w Poznaniu, zmarł na posiedzeniu tej instytucyi, tknięty paraliżem. Jego energii i pracowitości Bank zawdzięcza swój rozwój.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Stanisławowi P. Możemy Pana zapewnić, że jest to potwarz i że nie było żadnej winy lekarza, który o tyle jest i był tu sumiennym, o ile w swej umiejętności biegłym. U nas każdy głośniejszy wypadek musi zapłacić procent plotkarstwu. To haracz nieunikniony.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 22 Февраля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Święłochowski.